DGP
Dziennik Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend



RYS. PATRYK KOCH, FOT. SHUTTERSTOCK (3), EGOR MYZNIK/UNSPLASH

Opinia / M**3**

Zwolnić 52-latka

Przeterminowany zestaw regulacji skazuje rząd na wieczną wojnę z biznesem i pracownikami. Może już czas wyrzucić 52-letni kodeks pracy na bruk

zastanawia się Sebastian Stodolak

Praca / M**5**

Algorytm już jest szefem

W prawie pracy szefem jest ten, kto może zmienić grafik czy wynagrodzenie. Jeżeli coraz częściej robi to cyfrowa aplikacja, prawo powinno to zauważać

pisze Błażej Sajduk

DGP.pl DZIENNIK GAZETA PRAWNA NR 172 (6841), 4–6 WRZEŚNIA 2026, CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT), ISSN 2080-6744

eprasa.pl f6cf2fea5a

Technologie / M**8**

Meta zapłaci. Ale się nie przyznała

Argumenty, którymi big techy ucinały próby pociągnięcia ich do odpowiedzialności za żerowanie na nastolatkach, już nie chwytają w sądach
pisze Emilia Świętochowska

Niemcy / M**14**

Kruszejące mury, czyli AfD marsz po władzę

Na niemieckiej scenie politycznej wszystko na prawo od CDU było jeszcze niedawno blokowane. Nie ma jednak szans, by ta zapora przetrwała
analizuje Michał Kuź



FOT. WOJTEK GÓRSKI

To najsilniejszy sojusznik Władimira Putina

Jan Wróbel

UE zakazała importu mięsa z Brazylii – w odpowiedzi na nieprzestrzeganie przez nią uprzednio uzgodnionych przepisów. Z kolei w odpowiedzi na lipcowy atak rosyjskiego drona na lotnisku w Lipsku niemiecki rząd zamknął konsulat rosyjski w Bonn. Oj, byłbym zapomniał, zamknięto także Rosyjski Dom w Berlinie.

Oczywiście, zestawiając brazylijski i rosyjski casus dokonałem manipulacji. UE wobec Rosji już wprowadziła liczne obostrzenia, nieraz o wiele dotkliwsze niż utrudnienia w działaniu ośrodków kultury. Sankcje wobec Brazylii i wobec Rosji nie startują także z tego samego punktu. Co najważniejsze, Unia wspiera realnie ukraiński czyn zbrojny. Brednie o konieczności „deeskalacji konfliktu", dość chętnie mielone na początku rosyjskiej inwazji, schowano na lepszą okazję. (Oczywiście, deeskalacja konfliktu jest sama w sobie czymś pożądanym. Kiedy jednak jeden kraj napada, a drugi się broni, to wezwanie do deeskalacji jest zgrabną formą wezwania obrońców do kapitulacji).

Teraz UE zapowiada nowy pakiet sankcji wobec Rosji: restrykcje mogą dotyczyć firm z branży zbrojeniowej. Komisarz Kaja Kallas zapowiedziała – jak to w Unii – rozważenie wpisania na listę sankcyjną 1,6 tys. osób i podmiotów gospodarczych. Mamy za sobą już 4,5 roku wojny, więc dlaczego tak długo się zwleka z wpisaniem na nią firm związanych z kompleksem zbrojeniowym państwa agresora pozostającego w ostrym konflikcie z Zachodem?

Trzeba zacząć od Rosatomu, serwisującego niektóre elektrownie atomowe w Europie i sprzedającego wzbogacony uran. Od VSMPO-AVISMA, oferującego tytan. I tropić te rosyjskie „podmioty i osoby", które prowadzą handel z Unią za pomocą pośredników. Bo choć nawet sceptyczni wobec UE eksperci potwierdzają, że wymiana handlowa z Rosją zmniejszyła się w porównaniu z czasami sprzed 2022 r., to jednak wciąż jest zaskakująco duża.

Jest i będzie. Większość demokratycznych rządów Europy boi się jak ognia oskarżeń, że wskutek nieodpowiedzialnej brawury polityków (czytaj: zwalczania rosyjskiego imperializmu) ludziom będzie żyło się gorzej. Strach polityków przed lękami wyborców to bodaj najsilniejszy sojusznik Władimira Putina. ©℗



FOT. COLLECTION ROGER-VIOLLET/EAST NEWS

Historia / M**24**

Kultura w pudle

Gdy w sztabach wojskowych i gabinetach polityków trwały przygotowania do wojny, muzea, biblioteki i archiwa gorączkowo pakowały swoje najcenniejsze zbiory
przypomina Sebastian Pawlina

DGP Więcej niż gazeta: wideo, podcasty, analizy na DGP.pl

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:
Anna Masłoń (kierownik),
Piotr Czarnowski, Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja
oraz Kadry i Płace:
Agata Eichler,
Joanna Pieńczykowska-
-Rybaczyk (tygodnik SiA), Leszek Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz,
Izabela Rakowska-Boroń
(tygodnik FiP)

Projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

INFOR

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Nakład kontrolowany

Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ℗ – znak odpłatności; ©℗ – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

eprasa.pl f6cf2fea5a

Zwolnić 52-latka



RYS. PATRYK KOCH, FOT. SHUTTERSTOCK (3), EGOR MYZNIK/UNSPLASH

Przeterminowany zestaw regulacji skazuje rząd na wieczną wojnę z biznesem i pracownikami. Może już czas wyrzucić 52-letni kodeks pracy na bruk

Sebastian

Stodolak

Bareja by się uśmiał. Oto w 2026 r. w polskim prawie funkcjonuje zapis: „Pracownikom, którzy przez wzorowe wypełnianie swoich obowiązków, przejawianie inicjatywy w pracy i podnoszenie jej wydajności oraz jakości przyczyniają się szczególnie do wykonywania zadań zakładu, mogą być przyznawane nagrody i wyróżnienia".

To art. 105 kodeksu pracy, który w niezmienionej formie przetrwał od czasu uchwalenia w 1974 r. Zabawne jest nie tylko to, że prawodawca wspaniałomyślnie przyznał firmom prawo do nagradzania pracowników, lecz także anachroniczny z dzisiejszej perspektywy język zapisu. Sformułowania, jak „podnoszenie wydajności pracy" czy „wykonywanie zadań zakładu" pasują do pracownika fabryki realizującej normy kolejnej pięciolatki, a nie do nowoczesnych przedsiębiorstw.

Kodeks pracy pełen jest takich anachronizmów i z każdym rokiem jego zapisy coraz bardziej rozmijają się z rzeczywistością. Kolejne rządy, próbując nagiąć tę rzeczywistość do przeterminowanego prawa, skazują się na wojnę z przedsiębiorcami, pracownikami i konsumentami. Czas naszego 52-latka zwolnić tak, jak zrobiły to ze swoim starym, komunistycznym ustawodawstwem pracy właściwie wszystkie unijne kraje regionu.

Państwo na straży diety

Nie chodzi o wolną amerykankę, bo idea stojąca za kodeksem pracy, czy po prostu prawem pracy, jest, jak się wydaje, zbożna. Pozycja pracodawcy jest w relacji z pracownikiem silniejsza – to on wypłaca pensje i może pracownika zwolnić. Pracownik potrzebuje swoistej tarczy ochronnej, która uniezależni go od widzimisię pracodawcy i wprowadzi w ich relację stabilność i przewidywalność. Ponadto ze świadczeniem stosunku pracy wiąże się wiele złożonych kwestii, które warto ujednolicić tak, by wszyscy pracownicy byli traktowani podobnie. Do tych założeń trudno się przyczepić – przynajmniej na tak dużym poziomie ogólności brzmią sensownie. Stabilność i równość wobec prawa – co w tym złego?

Diabeł tkwi w szczegółach, a kodeks pracy jest bardzo szczegółowy i – jak zwraca uwagę prof. Arkadiusz Sobczyk, prawnik z Uniwersytetu Jagiellońskiego – służy nie tylko uporządkowaniu relacji pracodawca–pracownik, lecz także realizacji polityki społecznej i redystrybucji dochodu narodowego.

Problem w tym, że gospodarka to nie jest struktura stała. To organizm ewoluujący, który szybko wyrasta z kaftanów nakładanych na nią przez prawo. Jeśli prawo nie zmienia się równolegle do niej albo jeśli nie daje tej zmienności odpowiedniej przestrzeni, tworzą się systemowe, nieusuwalne napięcia. Zapisy prawne, które w jednych realiach się sprawdzają, w innych są zbędne lub nawet szkodliwe. I niestety takich zapisów właśnie pełen jest polski kodeks pracy.

Najbardziej rzucającą się w oczy jego cechą jest objętość. Ujednolicona wersja kodeksu liczy 190 str. i 305 artykułów (w tym uchylone) zawartych w 15 działach. Tak wielka ich liczba oznacza skomplikowanie, brak przejrzystości i interpretacyjną niepewność. Dodatkowo kodeks nieustannie się zmienia. Od uchwalenia był nowelizowany ponad 100 razy. Tyle że zmiany te w większości nie są re- ▷

eprasa.pl f6cf2fea5a

formami – to zazwyczaj dokładanie kolejnych warstw przepisów. Co podnosi koszty transakcyjne. Utrudnia sprawę, zamiast ułatwiać.

Zapisom kodeksu daleko do doskonałości. Problematyczne są np. przepisy dotyczące odpowiedzialności materialnej pracowników za powierzone mienie, bo wprowadzają w pewnych określonych warunkach możliwość egzekwowania odpowiedzialności zbiorowej – charakterystycznej dla minionego systemu. Jeśli np. magazyn znajduje się pod pieczą pięciu osób i coś z niewyjaśnionych przyczyn z niego zniknie, to teoretycznie firma może żądać naprawienia szkody od nich wszystkich. Anachroniczne jest także uregulowanie systemu kar porządkowych. Kodeks przewiduje trzy instrumenty: upomnienie, naganę i karę pieniężną. Lista jest zamknięta. Rezultat? Pracodawca nie może swobodnie kształtować innych, proporcjonalnych środków reakcji, nawet jeśli byłyby łagodniejsze i dopasowane do konkretnej sytuacji.

Ciekawe są także uregulowania dotyczące posiłków profilaktycznych. Sama idea jest w porządku, bo człowiek wykonujący ciężką pracę fizyczną w zimnie winien mieć zapewnione odpowiednie warunki. Tyle że państwo próbuje tu firmą mikrozarządzać i schodzi do poziomu niemal jadłospisu. Przepisy – określane już mocą rozporządzenia wykonawczego – definiują nawet progi wydatku energetycznego, a także makroskładniki posiłku. Taki posiłek powinien mieć ok. 1 tys. kilokalorii, z czego 50–55 proc. powinny stanowić węglowodany, 30–35 proc. tłuszcze, a 15 proc. białka. Ciekawe, jaki dietetyk podpowiedział ustawodawcy w 1996 r. tak konkretne proporcje?

Garnitur z pierwszej komunii

Anachronizmy w kodeksie pracy są nie tylko zabawne, lecz także szkodliwe. Zmuszają firmy do tworzenia zbędnych dokumentów, prowadzenia ewidencji, organizowania procedur oraz konsultacji albo do utrzymywania instytucji, których praktyczny sens dawno się rozmył. Najbardziej szkodliwe jest nakazywanie dorosłym ludziom noszenia garniturów z pierwszej komunii i sukienek z balu maturalnego.

Bo tym jest przestarzała definicja pracy etatowej, którą kodeks chce egzekwować od firm. Uwagę na to zwracał w swoim lipcowym felietonie redaktor naczelny DGP Tomasz Pietryga, komentując wejście w życie przepisów dających Państwowej Inspekcji Pracy prawo do zamieniania umów cywilnoprawnych oraz kontraktów B2B na etaty, jeśli uzna, że spełnione są ku temu przesłanki zdefiniowane w art. 22 kodeksu pracy. Pietryga streszcza ten zapis: „Mówi on (w uproszczeniu), że jeżeli ktoś pracuje jak pracownik – ma szefa, wyznaczony czas i miejsce pracy, polecenia, obowiązki, otrzymuje wynagrodzenie – to jest pracownikiem z mocy prawa, nawet jeśli podpisano coś innego. (...) Nazwa umowy nie ma znaczenia, bo liczy się rzeczywistość, a nie papier. Pytanie jednak, o jaką rzeczywistość chodzi: tę zadekretowaną w kodeksie czy tę, którą mamy za oknem?”.

Sztywny kodeks pracy zamyka pracowników w pętli krótkich kontraktów, bo pracodawcy boją się etatu

Odpowiedź: niestety, o tę zadekretowaną. Kodeks pracy definiuje etat tak, jakby wszyscy zatrudnieni w gospodarce pracowali w fabryce śrub. Czytając jego zapisy oczyma wyobraźni widzimy brygadzistę i listę obecności. I oczywiście nad bramą zakładu obowiązkowo czerwony transparent: „Wydajniejsza praca każdego – lepsze warunki życia wszystkich”. Tyle że współczesny pracownik może mieszkać w Tychach, pracować dla firmy z Warszawy, codziennie rozliczać się mobilnie i przez pół roku nie zobaczyć człowieka, który formalnie jest jego przełożonym. Dzisiaj praca, nawet etatowa, to często laptop i termin wykonania, a nie miejsce i czas.

Przywiązanie do prawnych skamielin rodzi groteskowe problemy. Weźmy np. ustawową definicję doby pracowniczej, która konieczna jest choćby do tego, by móc oddzielić pracę obowiązkową od nadgodzin. I tak doba pracownicza oznacza 24 godziny liczone od momentu rozpoczęcia pracy, co oznacza, że teoretycznie, przychodząc do pracy we wtorek godzinę wcześniej niż w poniedziałek, powinieneś mieć naliczone nadgodziny. Choć nowelizacja z 2013 r. miała wyeliminować ten absurd, to elastyczność ta pozostaje obwarowana twardymi wymogami. Ustna umowa z przełożonym nie wystarczy – bez pisemnego wniosku pracownika lub skomplikowanego porozumienia ze związkami zmiana godziny wciąż grozi zarzutem pracy w nadgodzinach podczas kontroli PIP.

Swobodę układania grafików blokuje także bezwzględny obowiązek zagwarantowania 11 godzin nieprzerwanego odpoczynku dobowego. W dobie masowej industrializacji epoki PRL takie problemy nie istniały w stopniu takim jak dzisiaj, gdy PKB to coraz częściej usługi świadczone elastycznie. Niektórym może się wydawać, że to problem firm, z którym sobie jakoś poradzą. A nie nasz – pracowników, podatników czy konsumentów. I jest to racja, lecz tylko w połowie. Bo firmy sobie radzą, ale naszym kosztem. Przerzucają obciążenia generowane przez kodeks na pracowników i konsumentów. Pierwszym po prostu płacą mniej, od drugich żądają więcej.

Ale to niejedyne negatywne efekty zbyt sztywnych uregulowań pracy na etacie dobrze udokumentowane przez ekonomistów. Sztywny kodeks pracy generuje efekt zamkniętych drzwi polegający na spowolnieniu tworzenia nowych miejsc pracy, zwłaszcza dla tych, którzy dopiero na rynek pracy wchodzą. Zamyka pracowników w pętli krótkich kontraktów, bo pracodawcy boją się etatu. Wielu pracowników ląduje finalnie w szarej strefie, przez co przestają mieć udział w finansowaniu usług publicznych (nie płacą podatku dochodowego i składek), co finalnie prowadzi do wzrostu obciążeń fiskalnych dla pracujących. Tak właśnie kończą się dobre intencje wprowadzenia pełnej i kompleksowej ochrony pracowników, gdy nie łączą się z podstawową wiedzą o funkcjonowaniu gospodarki.

Umowy ratunkowe

Nie jest, rzecz jasna, tak, że Polacy pracują albo na etacie, albo w szarej strefie. Polskie prawo dopuszcza inne formy zatrudnienia: umowy cywilnoprawne, które złośliwi nazywają umowami śmieciowymi, czy usługi świadczone w ramach jednoosobowej działalności gospodarczej. Według danych GUS na koniec 2025 r. wyłącznie z umów zlecenia i pokrewnych utrzymywało się w Polsce ok. 1,5 mln osób, a więc co dziewiąta osoba pracująca. W tej grupie aż 29 proc. stanowili cudzoziemcy, a osoby do 26. roku życia i emeryci – po ok. 18 proc., łącznie ponad jedną trzecią.

Zdaniem socjalnie nastawionych krytyków znaczna część tych umów w praktyce dotyczy pracy w formacie etatu tak, jak definiuje go kodeks pracy. Uważają oni, że firmy zmuszają pracowników, by wybierali je zamiast etatu, bo daje im to absolutną swobodę zatrudniania i zwalniania, a także zwalnia z konieczności opłacania części składek. Krytycy przyjmują przy tym ukryte założenie: firmy robią to wyłącznie z chciwości. Mogłyby oferować etaty, ale to obniżyłoby zyski, więc ich nie oferują.

To założenie może być prawdziwe na poziomie jednostkowego przypadku wyjątkowego chciwca, ale w skali całej gospodarki jest fałszywe. Często bowiem nie chodzi wyłącznie o większy zysk, ale o samą możliwość wygenerowania jakiejkolwiek nadwyżki. Nie wszystkie biznesy są wysokomarżowe i tak się składa, że wiele z tych niskomarżowych operuje przy bardzo wysokich kosztach zatrudnienia. Jeśli więc zatrudnienie na etacie jest zbyt kosztowne, na włosku wisi rozwój, a może nawet samo istnienie danej firmy.

Druga sprawa, którą osoby z sercem po lewej stronie są skłonne chętnie pomijać, to fakt, że wiele osób po prostu etatu nie chce. Z różnych przyczyn. Na przykład etat oznacza dla nich albo niższą istotnie pensję netto, albo konieczność podporządkowania życia zbyt sztywnemu reżimowi. Emeryt chce, gdy akurat nie bolą go plecy, sobie dorobić. Student chce zarobić na weekendową wycieczkę. Obcokrajowiec z kolei, który dopiero do Polski przyjechał, nie zna jeszcze języka albo jego dyplom nie został nostryfikowany, albo jego wniosku o kartę pobytu jeszcze nie rozpatrzono, woli podpiąć swoje życie zawodowe pod kilka aplikacji oferujących pracę platformową.

Zresztą to właśnie praca platformowa stała się ostatnio przedmiotem szczególnej troski ze strony urzędników PIP. Ten model biznesowy jest doskonałym wręcz przykładem na to, jak bardzo rzeczywistość odjechała polskiemu kodeksowi pracy. Większość osób zatrudnionych w ten sposób woli swobodę i możliwość korzystania z wielu platform, bo czasami chcą pracować 3 godziny dziennie, a czasami 12. Mają u siebie w Nepalu rodzinę do wykarmienia i wiecie, nie za bardzo są zainteresowane ideami kawiorowej lewicy, szytymi pod rdzennego mieszkańca bogatego Zachodu. Próba przeniesienia ich w reżim staromodnego etatu skończy się najpewniej tym, co stało się w Hiszpanii. Po tym, gdy w 2021 r. wprowadzono tam ustawę Rider, która objęła kurierów domniemaniem stosunku pracy, platformy zaczęły przebudowywać modele działania: Deliveroo wycofało się z rynku, a Uber Eats przeszedł m.in. na outsourcing przez firmy logistyczne. Badanie ekonomiczne „Riders on the Storm” Juana J. Dolado, Álvaro Jáñeza i Felixa Wellschmieda pokazało, że choć reforma zwiększyła udział etatów, to nie wchłonęła wszystkich osób wypadających z samozatrudnienia, a także wiązała się ze spadkiem płac i dobrobytu części kurierów. Umowy cywilnoprawne to zatem nie tyle umowy śmieciowe, co umowy ratunkowe: pozwalają firmom i pracownikom umknąć przed nieżyciowymi przepisami.

Jak oni reformują...

Wielokrotnie podnosiłem na łamach DGP konieczność przeprowadzania głębokich reform w fundamentalnych dziedzinach państwowej aktywności: ochronie zdrowia, edukacji czy systemie emerytalnym. Brutalna prawda jest jednak taka, że dobre reformy w tych dziedzinach wymagają wyjątkowej politycznej odwagi, a akurat ona obecnie wśród naszych decydentów jest towarem wybitnie deficytowym. Próba porządnej reformy kodeksu pracy, polegającej na zastąpieniu go całkiem nowym aktem, pozornie może się wydawać podobnie nierealistyczna. Któż zaryzykuje utratę poparcia związków zawodowych?

Być może jednak ta niemożliwość jest tylko złudzeniem. Bo przecież wielu krajom naszego regionu – Estonii, Łotwie, Litwie, Czechom i Słowakom – to się udało. Nie twierdzę, że zrobiły to idealnie, ale faktem jest, że kraje o podobnym podłożu historyczno-instytucjonalnym jak Polska były w stanie dokonać odważnej reformy w tej wrażliwej materii.

Estonia zrobiła to w trakcie globalnego kryzysu finansowego lat 2008–2009, silnie uelastyczniając rynek pracy. Na Litwie do reformy doszło w 2017 r. W jej ramach wprowadzono aż dziewięć różnych typów umów, w tym umowę o pracę o nieokreślonej wielkości, gdy pracownik musi przepracować po prostu co najmniej osiem godzin miesięcznie, by się z niej wywiązać. W ramach zmiany prawa oddzielono ochronę minimalną, którą każda legalna umowa musi gwarantować (płaca minimalna, minimalny wymiar urlopu, maksymalny czas pracy, uprawnienia macierzyńskie), od ochrony domyślnej, która wykracza poza minimum, ale może zostać zmieniona, jeśli strony postanowią inaczej – kierunek zmian musi być jednak korzystny dla pracownika. W stronę takich hybrydowych reform poszli także Czesi, którzy przed rokiem wprowadzili flexinovelę wydłu-

eprasa.pl f6cf2fea5a



RYS. PATRYK KOCH, FOT. SHUTTERSTOCK (2), EGOR MYZNIK/UNSPLASH

Algorytm już jest szefem. Prawo wciąż widzi tylko kuriera

W prawie pracy szefem jest ten, kto może zmienić grafik czy wynagrodzenie. Jeżeli coraz częściej robi to cyfrowa aplikacja, to prawo powinno to zauważać

Błażej

Sajduk

Polska ma do 2 grudnia 2026 r. wdrożyć przepisy dyrektywy o pracy przez aplikacje i platformy cyfrowe. Przyznaje ona tak zatrudnionym m.in. prawo do informacji o stosowanych systemach elektronicznych oraz o tym, jakie dane i działania są monitorowane. Zatrudnieni będą mogli uzyskać wyjaśnienie decyzji podjętej lub wspartej przez system i zażądać jej ponownego rozpatrzenia. Najbardziej dotkliwe działania – w tym o rozwiązaniu umowy, zawieszeniu lub usunięciu konta – będzie musiał podjąć człowiek. Elektroniczne systemy, które mierzą oraz oceniają pracę, działają już w bankach, magazynach czy call center. Jeśli szczególną ochronę przyznamy tylko osobom wykonującym pracę za pośrednictwem cyfrowych platform pracy, stworzymy dwie klasy ludzi zarządzanych przez podobne systemy.

Wyobraźmy sobie teraz dwie osoby. Pierwsza rozwozi posiłki – aplikacja podaje kolejność zleceń, liczy tempo, ocenia odsetek przyjętych kursów i może ograniczyć dostęp do dalszej pracy. Druga siedzi w call center. Wewnętrzny system analizuje czas rozmów, przerwy, wyniki sprzedaży oraz opinie klientów, a potem układa grafik oraz podsuwa przełożonemu decyzję o premii. W obu przypadkach o realnych warunkach pracy współdecyduje oprogramowanie. Różnica polega na tym, że unijna dyrektywa szczegółowo wyznacza katalog praw kuriera, który Polska ma wdrożyć do 2 grudnia. Pracownikowi call center pozostaje do ochrony bardziej rozproszona mozaika przepisów.

Na tym polega jeden z najważniejszych, a wciąż słabo dostrzeganych problemów transformacji rynku pracy. Najbliższa zmiana nie musi wyglądać jak masowe zastępowanie ludzi przez maszyny. Coraz częściej będzie mniej widowiskowa. W arkuszu oceny pojawi się dodatkowa kolumna, panel menedżerski wyróżni pracownika kolorem, system zasugeruje korektę grafiku, a przełożony, obciążony pracą i własnymi wskaźnikami, przyjmie tę sugestię jako najbezpieczniejszą decyzję organizacyjną. Człowiek pozostaje w strukturze, ale część władzy kierowniczej oddaje narzędziom, które mierzą, porównują, przewidują i rekomendują. Pracownik widzi rezultat, lecz zazwyczaj nie wie, które dane przesądziły o wyniku, czy były prawidłowe ani czy ktokolwiek naprawdę sprawdził rekomendację przed jej zastosowaniem.

Zarządzanie przenosi się do systemów

„Zarządzanie algorytmiczne” brzmi jak nazwa kosmicznej technologii, lecz opisuje zwyczajne czynności. System przydziela zadania i zmiany, monitoruje aktywność, ustala cele, ocenia wyniki, przewiduje absencje, dobiera szkolenia, wylicza premie albo wskazuje kandydatów do awansu i zwolnienia. Może wykonywać te zadania samodzielnie lub wspierać człowieka. Co ważne, nie każde narzędzie wykorzystuje sztuczną inteligencję. Część opiera się na prostych regułach i statystyce. Dla pracownika najważniejsze jest to, czy narzędzie wpływa na dostęp do pracy, wynagrodzenie, ocenę i możliwość dalszego zatrudnienia.

Zjawisko dawno wyszło poza branżę przewozów i dostaw. OECD zapytała ponad 6 tys. menedżerów średniego szczebla w USA, Niemczech, we Francji, Włoszech, w Hiszpanii i Japonii o oprogramowanie służące do instruowania, monitorowania lub oceniania pracowników. Użycie co najmniej jednego zadeklarowało 90 proc. badanych w USA, średnio 79 proc. w czterech państwach europejskich i 40 proc. w Japonii.

Zarządzanie algorytmiczne nie jest z definicji złe. Sześciu na dziesięciu menedżerów korzystających z takich narzędzi uważało, że poprawiają one ja- ▷

żającą okres próbny, liberalizującą zasady wypowiedzenia, ale też zakazującą uniemożliwiania pracownikom dzielenia się informacjami o wynagrodzeniach. Co ciekawe, czeskie prawo już zawiera rozwiązania dobrze pasujące do pracy platformowej, a mianowicie od 1 czerwca 2025 r. umożliwiono przeniesienie na pracownika prawa i obowiązku układania własnego harmonogramu.

Nasi sąsiedzi to jedno, ale bardziej nowoczesne ustawodawstwo pracy niż Polska mają właściwie wszystkie kraje zachodniej Europy uznawane za socjalne raje: od Francji przez Niemcy i Szwecję po Danię z jej słynną flexicurity, dopuszczającą szybkie zwolnienia, ale oferującą hojny i mądrze zorganizowany system zasiłkowy. Jak to możliwe? W wielu państwach Zachodu mamy silne uzwiązkowienie, co oznacza, że prawa pracowników wykuwają się głównie pomiędzy związkami a firmami w ramach układów zbiorowych, bez większego udziału polityki. W Polsce mamy do czynienia z silną formalnie pozycją związków, ale niskim uzwiązkowieniem (na poziomie ok. 13 proc., w Danii to ponad 65 proc.) – dlatego zamiast układów zbiorowych mamy publiczne przeciąganie liny między nimi a biznesem, w którym państwo pełni zarówno rolę arbitra, jak i facylitatora. To sytuacja chorobliwa i nikomu niesłużąca. Tak więc raz jeszcze: czas na zmiany. Pierwszą powinno być wyrzucenie naszego 52-letniego kodeksu pracy na bruk. ©℗

Autor jest wiceprezesem Warsaw Enterprise Institute



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Sebastian

Stodolak

wiceprezes Warsaw Enterprise Institute

eprasa.pl f6cf2fea5a

kość podejmowanych decyzji, głównie dzięki większej liczbie informacji i szybkości działania. Dobrze zaprojektowany system może sprawiedliwiej rozdzielać zmiany, wcześniej wykrywać przeciążenie, porządkować chaotyczne kryteria oceny i ograniczać arbitralność pojedynczego przełożonego. Jednocześnie niemal dwie trzecie użytkowników wskazało co najmniej jedną obawę: najczęściej były to niejasna odpowiedzialność za błędną decyzję, niemożność prześledzenia jej logiki oraz niedostateczna ochrona zdrowia fizycznego i psychicznego pracowników.

To napięcie jest sednem problemu. Algorytm może ograniczyć ludzką dowolność, lecz potrafi też nadać pozór obiektywności temu, co zostało źle zmierzone. Jeżeli system premiuje liczbę zamkniętych spraw, zacznie spychać na koniec kolejki tematy trudne. Jeżeli porównuje wydajność konsultantów wyłącznie poprzez kryterium czasu rozmowy, osoba cierpliwie obsługująca starszych wypadnie gorzej od tej, która kończy połączenia szybko. Problem zaczyna się więc wcześniej – przy wyborze tego, co organizacja postanowiła mierzyć i jakie zachowanie uznała za warte nagrody.

Ochrona zależna od sektora

Dyrektywa o pracy platformowej jest pierwszym aktem UE, który tak kompleksowo reguluje zarządzanie algorytmiczne w tym sektorze. Jej znaczenie wykracza poza spór o to, czy kierowca lub kurier jest pracownikiem, czy samozatrudnionym. Dyrektywa tworzy katalog praw wobec zautomatyzowanych systemów monitorujących i decyzyjnych także dla osób, które formalnie nie mają umowy o pracę.

Polski projekt wdrożeniowy przenosi ten katalog niemal wprost. Platforma ma informować, jakie systemy stosuje, jakie dane i działania monitoruje, do jakich decyzji używa wyników oraz jakie są główne parametry wpływające na decyzję i ich względne znaczenie. Ma zapewnić nadzór człowieka, regularnie oceniać wpływ systemu i wyznaczyć do kontroli osoby mające kompetencje, przeszkolenie oraz władzę pozwalającą zmienić wynik. Osoba wykonująca pracę ma otrzymać wyjaśnienie istotnej decyzji, jej pisemne uzasadnienie, uzyskać możliwość ponownego rozpatrzenia sprawy i zmiany błędnej decyzji. Na podstawie RODO może też żądać sprostowania błędnych danych. Decyzje o rozwiązaniu umowy oraz o zawieszeniu lub usunięciu konta ma podejmować człowiek.

Dyrektywa zabrania przetwarzania danych o stanie emocjonalnym lub psychicznym, treści prywatnych rozmów oraz danych gromadzonych poza okresem, gdy praca platformowa jest oferowana lub wykonywana. Nie pozwala również prognozować, czy dana osoba skorzysta z praw związkowych i innych praw podstawowych ani wyciągać wniosków o niektórych cechach wrażliwych. Przed wprowadzeniem nowego systemu lub istotną zmianą istniejącego należy poinformować przedstawicieli pracowników i przeprowadzić z nimi konsultacje.

W praktyce spór rzadko się zaczyna od wielkiej debaty o sztucznej inteligencji. Zaczyna się od prostej informacji. Konto zostało ograniczone, grafik nagle się zmienił, premia spadła albo kandydat nie przeszedł kolejnego etapu. Dopiero potem pracownik próbuje ustalić, czy zdecydował człowiek, tabela, ranking, model predykcyjny czy ich połączenie. I najczęściej nie ma dość informacji, by zadać właściwe pytanie.

Teraz zmieńmy tylko miejsce zastosowania. Ten sam dostawca może sprzedać platformie narzędzie oceniające kurierów, a narzędzie o zbliżonej funkcji sieci sklepów, bankowi albo centrum logistycznemu. W drugim przypadku pracownika nadal chronią przepisy o prawie do poszanowania godności, równym traktowaniu, prywatności i danych osobowych (bo przecież nie świadczy pracy przez aplikacje i platformy cyfrowe). RODO daje ważny punkt zaczepienia, zwłaszcza wobec decyzji opartych wyłącznie na zautomatyzowanym przetwarzaniu, które wywołują skutek prawny lub podobnie istotnie wpływają na osobę. Problem zaczyna się jednak od słowa „wyłącznie". W dokumentacji może istnieć procedura nadzoru, w systemie pole „zatwierdź", a w organizacji przekonanie, że skoro ostateczny ruch należy do kierownika, automatyzacja nie ma decydującego znaczenia. Tymczasem właśnie w tym miejscu najczęściej powstaje szara strefa odpowiedzialności. Przełożony widzi rekomendację, nie zna jej pełnego uzasadnienia, działa pod presją czasu i korzysta z opcji, którą narzędzie ustawiło jako oczywistą. Jak pracownik ma wykazać, że przesądził system, skoro nie wie nawet, że ranking powstał?

Kodeks pracy, RODO i przepisy o dyskryminacji nie tworzą dziś jednego prostego procesu. Brakuje ogniwa, które połączyłoby informację przed wdrożeniem, udział przedstawicieli załogi, wskazanie danych i kryteriów, pisemne uzasadnienie niekorzystnej decyzji, poprawienie danych oraz ponowne rozpatrzenie sprawy przez osobę zdolną rzeczywiście zmienić wynik. Dyrektywa platformowa taki proces szkicuje. Przy wąskiej implementacji może więc powstać paradoks. Szczegółowe prawo do zakwestionowania algorytmicznego wyniku będzie zależeć bardziej od modelu biznesowego pracodawcy niż od siły oddziaływania systemu na człowieka.

Terminy regulacji zaczynają się rozjeżdżać

Drugi zestaw reguł przynosi AI Act. Za zastosowania wysokiego ryzyka co do zasady uznano systemy używane w rekrutacji oraz te, które wpływają na warunki pracy, awans, zwolnienie, przydział zadań, monitoring i ocenę pracowników. Po rozpoczęciu stosowania pełnego reżimu rozporządzenie nałoży, zależnie od roli, obowiązki na dostawców i podmioty stosujące te systemy. Dotyczą one danych, dokumentacji, rejestrowania zdarzeń, dokładności, nadzoru człowieka i zarządzania ryzykiem. Jeżeli decyzja opiera się na wyniku systemu wysokiego ryzyka z załącznika III i wpływa na zdrowie, bezpieczeństwo lub prawa podstawowe, pracownik zyska też prawo do jasnego i merytorycznego wyjaśnienia roli systemu w tej decyzji. Tyle że 27 lipca 2026 r. weszło w życie rozporządzenie, które przesunęło na 2 grudnia 2027 r. stosowanie głównego pakietu wymogów wobec systemów wysokiego ryzyka wskazanych w załączniku III. Uzasadnieniem były opóźnienia w przygotowaniu standardów, wytycznych i instytucji potrzebnych do wdrożenia. Termin dyrektywy platformowej pozostał bez zmian i przypada na 2 grudnia 2026 r. Wdrażanie regulacji zaczyna iść różnym tempem, chociaż dotyczą one coraz bardziej podobnych narzędzi. W najbliższych miesiącach szczegółowa ochrona osób pracujących przez platformy będzie rozwijała się szybciej niż pełny reżim wysokiego ryzyka dla wielu zastosowań zatrudnieniowych.

> Jeżeli firma nie potrafi jasno powiedzieć, do czego służy narzędzie, jakie zachowanie ma promować i kto odpowiada za błędny wynik, prawdopodobnie sama nie kontroluje wdrożenia

Nie oznacza to prawnej próżni. Pracodawców nadal wiążą kodeks pracy i RODO, a niektóre regulacje AI Act już obowiązują. Oznacza to jednak rozbieżność między sektorami pod względem szczegółowości przepisów i ich egzekwowania. Dostrzega ją również Komisja Europejska. W lipcu rozpoczęła drugą fazę konsultacji przyszłego Quality Jobs Act, obejmującą zagadnienia przejrzystości zarządzania algorytmicznego, nadmiernego monitoringu i kontroli człowieka. Konsultacje potrwają do 28 września 2026 r. Nie ma jeszcze projektu aktu prawnego, a tym bardziej uchwalonych przepisów. Samo to, że Komisja rozważa wspólne zasady dla wszystkich pracodawców, pokazuje, że zarządzanie algorytmiczne nie dotyczy jedynie platform.

Polski sygnał pojawił się jeszcze wcześniej. 16 lipca prezes UODO zwrócił się do resortu pracy o przygotowanie dodatkowych zabezpieczeń przed dyskryminacją kandydatów i pracowników. Urząd wskazał, że systemy rekrutacyjne mogą analizować znacznie więcej informacji, niż pracodawca ma prawo żądać od kandydata na podstawie kodeksu pracy, oraz przetwarzać dane wrażliwe na dużą skalę. To dobry moment, by nie ograniczać dyskusji do rekrutacji. Ten sam mechanizm przetwarzania działa później przy ocenie, grafiku, premii i zwolnieniu.

Człowiek nie jest pieczątką

Najłatwiejszą odpowiedzią na ryzyko automatyzacji jest hasło „człowiek w procesie". Bywa prawdziwym zabezpieczeniem, ale bywa też dekoracją. W praktyce nadzór często rozbija się o bardzo prozaiczne warunki pracy menedżera, czyli liczbę spraw do zatwierdzenia, wygląd panelu, dostęp do danych źródłowych, kulturę organizacyjną i to, czy odchodzenie od rekomendacji systemu nie jest traktowane jak błąd. Jeżeli przełożony widzi tylko ocenę w skali od 1 do 100, nie zna kryteriów, odpowiada za setki decyzji dziennie i sam jest oceniany za zgodność z procedurą, jego udział niewiele zmienia. To nie jest kontrola. To administracyjna obsługa wyniku.

Liczą się cztery warunki. Człowiek kontrolujący decyzję musi mieć kompetencje, dostęp do informacji, władzę i czas. Powinien rozumieć zastosowanie systemu oraz jego ograniczenia, widzieć dane i powody istotne w konkretnej sprawie, móc zmienić wynik bez kary za sam fakt sprzeciwu i mieć czas na rzeczywiste rozpatrzenie.

Dyrektywa platformowa trafnie wpisuje kompetencję, szkolenie i władzę w definicję ludzkiego nadzoru. Polski kodeks pracy powinien objąć tym samym standardem wszystkich pracowników, nie tylko platformowych. Weryfikacji nie można też zrzucić wyłącznie na pojedynczego pracownika. To pracodawca wybiera narzędzie, cel, dane, próg i sposób wykorzystania wyniku. Związek zawodowy lub rada pracowników może zobaczyć wzorzec, którego nie dostrzeże osoba kwestionująca jedną ocenę. Może np. wykryć systematycznie gorsze wyniki osób pracujących na niepełny etat, opiekujących się dziećmi lub obsługujących trudniejszy region. Zarządzanie algorytmiczne jest więc jednocześnie sprawą indywidualnego odwołania i zbiorowej kontroli warunków pracy.

Wyjaśnienie nie oznacza dostępu do kodu

Pracodawcy i dostawcy słusznie będą chronić tajemnicę przedsiębiorstwa. Ale prawo do wyjaśnienia nie wymaga publikowania kodu źródłowego ani pełnej dokumentacji technicznej. Pracownik potrzebuje odpowiedzi na praktyczne pytania. Powinien wiedzieć, jaki cel miał system, z jakich kategorii danych korzystał, jaki był udział wyniku w decyzji, które czynniki miały największe znaczenie, kto sprawdził wynik i jak można skorygować błąd.

Przedstawiciele załogi i organ kontrolny potrzebują dodatkowo informacji o testach, zmianach wersji, liczbie uchylonych rekomendacji oraz różnicach w wynikach między grupami. Taki obowiązek może nawet poprawić jakość zarządzania.

Jeżeli firma nie potrafi jasno powiedzieć, do czego służy narzędzie, jakie zachowanie ma promować i kto odpowiada za błędny wynik, prawdopodobnie sama nie kontroluje wdrożenia. Przejrzystość staje się wtedy praktycznym sprawdzianem tego, czy zakupiony system rzeczywiście rozwiązuje problem organizacji, czy tylko produkuje atrakcyjny wskaźnik.

Niech Polska nie powiela luki

Ten spór nie jest już teoretyczny. Projekt ustawy o wykonywaniu pracy za pośrednictwem cyfrowych platform pracy, oznaczony numerem UC160, został 7 sierpnia opublikowany na stronie Rządowego Centrum Legislacji i skierowany

eprasa.pl f6cf2fea5a

do konsultacji publicznych. Uwagi można było zgłaszać do 28 sierpnia, a rząd planuje przyjąć projekt w IV kw. tego roku.

Zawiera on kilka mocnych rozwiązań. Wprowadza wzruszalne domniemanie istnienia stosunku pracy. Nie pozwala, aby zautomatyzowany system sam rozwiązał umowę czy zawiesił lub usunął konto. Przewiduje również kary za naruszenie ograniczeń dotyczących danych oraz obowiązek informowania Państwowej Inspekcji Pracy.

Wszystkie te gwarancje kończą się jednak na granicy platformy. Do terminu wdrożenia dyrektywy pozostało niewiele czasu, dlatego wybrano rozwiązanie sektorowe. Gwarancje trafiają do odrębnej ustawy, a nie do kodeksu pracy. Resztę łatwo odłożyć do przyszłego Quality Jobs Act i pełnego stosowania AI Act. Byłoby to jednak tworzenie dwóch klas ochrony dokładnie w chwili, gdy technologie przenikają między sektorami. Rozsądniejszym rozwiązaniem byłaby krótka, technologicznie neutralna regulacja zarządzania algorytmicznego w kodeksie pracy. Powinna opierać się na funkcji i skutku, jaki wywiera stosowanie systemu, a nie na tym, czy producent używa etykiety „AI".

Minimalny standard nie musi być rozbudowany. Ważniejsze, aby był czytelny dla pracownika, możliwy do skontrolowania przez przedstawicieli załogi i wystarczająco konkretny dla pracodawcy. W praktyce powinien obejmować sześć elementów.

1. Najpierw informacja. Pracownicy i ich przedstawiciele powinni przed wdrożeniem otrzymać kartę systemu wskazującą cel, kategorie danych, rodzaje wspieranych decyzji, główne kryteria, częstotliwość oceny, dostawcę oraz osobę odpowiedzialną po stronie pracodawcy.
2. Potrzebne są czerwone linie wzorowane na dyrektywie platformowej. Powinny zakazywać analizowania emocji i prywatnych rozmów, wykorzystywania danych z czasu wolnego, przewidywania aktywności związkowej oraz wyciągania wniosków o cechach wrażliwych. Wyjątek mogłaby tworzyć jedynie wąska i proporcjonalna podstawa w przepisie szczególnym.
3. Najważniejszy jest mechanizm zakwestionowania wyniku. Każda istotna niekorzystna decyzja wymagałaby pisemnego uzasadnienia, możliwości poprawienia danych i ponownego rozpatrzenia sprawy przez człowieka mającego kompetencję, dostęp do informacji, władzę i czas. Nie wystarczy więc osoba, która zatwierdza rekomendację z przyzwyczajenia albo pod presją wskaźników. Zwolnienie nie mogłoby być automatycznym następstwem wyniku.
4. Uruchomienie systemu oraz istotna zmiana jego celu lub kryteriów powinny podlegać konsultacji z organizacją związkową, radą pracowników, a w razie ich braku – bezpośrednio z załogą. Przy wdrożeniach przedstawiciele powinni móc skorzystać z niezależnego eksperta.
5. Pracodawca powinien oceniać wpływ systemu na bezpieczeństwo, zdrowie psychiczne i tempo pracy. Narzędzie, które stale podnosi normę na podstawie wyników najlepszych osób, może być matematycznie sprawne, a organizacyjnie niebezpieczne.
6. PIP powinna otrzymać realne uprawnienia kontrolne i wykonywać je we współpracy z UODO. Inspekcja potrzebuje dostępu do dokumentacji, dzienników decyzji, historii wersji, testów i statystyk dotyczących uchylonych rekomendacji. Nie musi analizować całego kodu źródłowego. Musi jednak móc odtworzyć drogę od danych do konkretnego skutku.

Reforma PIP, obowiązująca od 8 lipca 2026 r., pozwala po kontroli stwierdzić istnienie stosunku pracy w drodze decyzji administracyjnej, od której przysługuje odwołanie do sądu. Inspekcja ma więc już narzędzie władcze. Jej kompetencje trzeba jeszcze uzupełnić o kontrolę systemów algorytmicznych. Dla firm oznacza to obowiązki, ale też przewidywalność. Dziś pracodawca wdrażający system musi sam zestawiać wymagania z wielu źródeł i zgadywać, kiedy rekomendacja staje się decyzją automatyczną. Jeden proces informowania, konsultacji, uzasadniania i kontroli może być prostszy niż kilka nakładających się procedur. Taka regulacja stworzy przewagę dla rzetelnych dostawców. Ich narzędzia będą musiały pozwalać pracodawcy wyjaśnić wynik w miejsce zasłaniania się tajemnicą modelu.

Pracodawca poza sektorem platform nie musi czekać na ustawę. Najpierw warto spisać listę systemów wpływających na grafik, ocenę, premię i awans oraz dla każdego przygotować kartę celu i kryteriów. Następnie trzeba wskazać osobę odpowiedzialną za nadzór, zapewnić jej czas na rozpatrywanie odwołań i prowadzić rejestr uchylonych rekomendacji. Po wejściu projektowanej ustawy w życie taki materiał pomoże wykazać zgodność w zakresie wynikającym z jej ostatecznego brzmienia. W sporze o dyskryminację lub zgodność przetwarzania danych pomoże też pokazać, jak przebiegała decyzja, kto ją sprawdził, z jakich informacji korzystał i na jakiej podstawie mógł odejść od wyniku zaproponowanego przez system.

Prawo pracy musi widzieć

Wróćmy do kuriera i pracownika call center. Dla prawa nie powinno być rozstrzygające, czy polecenie przyszło z aplikacji dla wykonawców, czy z panelu wewnętrznego pracodawcy. Ważne jest to, czy system przydzielił pracę, zmienił wynagrodzenie, ograniczył dostęp do zmian, obniżył ocenę lub wpłynął na dalsze zatrudnienie. Jeżeli skutek jest podobny, podstawowe gwarancje też powinny być podobne. Nie trzeba przy tym udowadniać, że algorytm miał ostatnie słowo. Wystarczy, że ustawił domyślną ścieżkę, którą organizacja rzadko kwestionuje.

Dlatego pracownik nie potrzebuje ogólnej obietnicy, że „człowiek pozostaje w procesie". Potrzebuje znać reguły, móc poprawić dane, wiedzieć, kto odpowiada, i mieć skuteczną drogę odwołania. W prawie pracy szefem jest ten, kto może zmienić grafik, wynagrodzenie albo szansę na zachowanie pracy. Jeżeli coraz częściej robi to infrastruktura decyzji, a nie pojedynczy przełożony, prawo powinno nauczyć się ją widzieć. ©℗

Błażej Sajduk, adiunkt w Katedrze Bezpieczeństwa Narodowego Uniwersytetu Jagiellońskiego, współpracownik Nowej Konfederacji

AUTOPROMOCJA



eprasa.pl f6cf2fea5a

Świat

Szef Mety Mark Zuckerberg przed sądem w Los Angeles. 18 lutego 2026 r.



FOT. RYAN SUN/AP/EAST NEWS

Meta zapłaci. Ale się nie przyznała

Stare argumenty, którymi big techy przez lata ucinały próby pociągnięcia ich do odpowiedzialności za żerowanie na nastolatkach, już nie działają w sądach

Emilia

Świętochowska

Wynegocjowaliśmy z Metą ugodę, dzięki której media społecznościowe staną się mniej niebezpieczne dla naszych dzieci – cieszył się Rob Bonta, prokurator generalny Kalifornii. Wraz z kolegami z 28 stanów pozwał on właściciela Facebooka i Instagrama za uzależnienie milionów nastolatków i zarabianie na ich prywatnych danych.

Władze przedstawiają ogłoszone 26 sierpnia porozumienie jako historyczne zwycięstwo i punkt zwrotny w walce o ochronę dzieci przed szkodliwym wpływem social mediów. Żeby uniknąć medialnego procesu, Meta zgodziła się zapłacić 17,1 mld dol., które stany przeznaczą m.in. na pomoc psychologiczną i edukację na temat zagrożeń związanych z kompulsywnym przeglądaniem społecznościówek.

Oprócz tego spółka Marka Zuckerberga zobowiązała się wprowadzić zabezpieczenia mające oderwać nastolatków od ekranów. Osoby poniżej 18. roku życia będą mogły przesiadywać na Facebooku i Instagramie nie więcej niż dwie godziny dziennie, choć do tego limitu nie wlicza się wysyłania wiadomości ani oglądania dłuższych filmików (ugoda definiuje je jako materiały trwające co najmniej 22 min). Meta obiecuje, że będzie automatycznie wyłapywać przypadki nastolatków, którzy korzystają z kilku kont, by ominąć obostrzenia. Nocą dostęp do platform ma być domyślnie zablokowany, a w godzinach szkolnych (8–15) wyciszone zostaną powiadomienia.

Scrollowanie będzie co kwadrans przerywane komunikatami zachęcającymi do „produktywnej przerwy". Ugoda przewiduje też lepszą weryfikację wieku użytkowników i dodatkowe narzędzia identyfikowania dzieci poniżej 13. roku życia, które nie mają prawa korzystać z platform nawet za zgodą rodziców. Skuteczność tych mechanizmów ma monitorować niezależny audytor.

Kolejne restrykcje dotyczą popularnych funkcji, które według licznych badań przyczyniają się m.in. do zaburzonego obrazu własnego ciała, problemów i depresji. Nastolatki nie zobaczą już liczby polubień i reakcji pod swoimi postami. Meta zabierze im również filtry upiększające, dzięki którym można przerobić zdjęcia tak, by wpasować się w kanony urody lansowane przez instagramowe influencerki. Zmiany te pojawiają się tylko na ekranach użytkowników w Stanach Zjednoczonych, ale firma może się spodziewać nasilonej presji ze strony innych rządów.

Jak koncerny tytoniowe

Stanowi prokuratorzy generalni osiągnęli to, na co Kongres nie potrafił się zdobyć na drodze legislacyjnej: skłonili technologicznego giganta do ustępstw. Choć przez lata przybywało dowodów, że społecznościówki wpędzają młodych ludzi w problemy psychiczne, a drapieżnikom seksualnym i innym przestępcom ułatwiają wyszukiwanie ofiar, model funkcjonowania platform pozostawał nienaruszony. Facebook, Instagram i YT w spokoju doskonaliły algorytmy pompujące ich przychody reklamowe, nie napotykając w Waszyngtonie żadnej przeszkody. Wszelkie próby uchwalenia federalnych regulacji, które ukróciłyby przynajmniej najbardziej szkodliwe praktyki, grzęzły w polityczno-proceduralnych sporach, zręcznie podsycanych przez przedstawicieli branży. Tylko w 2025 r. Meta wydała na lobbowanie ustawodawców 26,3 mln dol. – więcej niż jakakolwiek inna spółka technologiczna. Gdy kolejni sygnaliści opowiadali na Kapitolu, że Zuckerberg i jego współpracownicy stawiają wyniki finansowe przed dobrem dzieci, kończyło się na rytualnym oburzeniu i wygrażaniu palcem.

W 2024 r. spółka pomogła zatopić ponadpartyjny projekt Kids Online Safety Act (KOSA), przekonawszy konserwatywnych kongresmenów, że otwiera on drogę do cenzury internetu i przyznaje zbyt duże uprawnienia federalnym urzędnikom. Według ustaleń „The Wall Street Journal" wynajęci przez Metę lobbyści rozkolportowali memorandum, w którym ostrzegano, że KOSA może posłużyć do „tłumienia działalności ruchu pro-life". Ustawa została prawie jednogłośnie przyjęta przez Senat, ale w Izbie Reprezentantów nie doczekała się głosowania. Gdy w 2025 r. projekt powrócił na agendę w złagodzonej wersji, poparły go Apple, Microsoft, Snap, nawet X. Google i Meta kontynuowały kampanię przeciwko regulacjom, poszerzając ją o front lokalny. Reprezentujące gigantów branży organizacje NetChoice oraz CCIA wytoczyły sprawy o naruszenie wolności słowa kilkunastu stanom, które wobec bezczynności Kongresu uchwaliły własne przepisy wzmacniające ochronę dzieci w mediach społecznościowych.

Niektórzy komentatorzy porównują ustępstwa Mety do kapitulacji potentatów tytoniowych, którzy na mocy ugody z 1998 r. musieli wypłacić miliardy dolarów na pokrycie kosztów leczenia palaczy i zaakceptować ograniczenia dotyczące promowania swoich wyrobów (m.in. zakaz umieszczania reklam na billboardach i kierowania reklam do osób niepełnoletnich). Jest to kusząca analogia, lecz trudno postawić między tymi sprawami znak równości. Imperium Zuckerberga jest o wiele bardziej rozległe i wpływowe niż Philip Morris czy R.J. Reynolds u szczytu swojej potęgi. Koncerny tytoniowe należały do najbardziej dochodowych przed-

eprasa.pl f6cf2fea5a

siębiorstw swojej epoki; Meta to kluczowe ogniwo techno-oligarchii: biznesowy ekosystem zarabiający na aktywności 3,6 mld użytkowników i możliwości wyświetlania im algorytmicznie sterowanego strumienia treści. Mając pod kontrolą cyfrową infrastrukturę, kształtuje poglądy i trendy, wpływa na wydarzenia polityczne, wyznacza standardy wyglądu, narzuca wyobrażenia o „dobrym" rodzicielstwie...

Producenci papierosów zakończyli batalię ze stanami na warunkach, które zmieniły zasady działania całej branży. W styczniu 1998 r., kilka miesięcy przed zawarciem ugody, szefowie największych firm pełni skruchy stawili się w Kongresie, by zadeklarować, że palenie jest szkodliwe i uzależniające, a namawianie do tego nastolatków – niemoralne. Technologiczny gigant wygasił spór bez przyznania się do winy, a fundamenty jego biznesu nie doznały większego uszczerbku. Nawet jeśli wycofując się z walki sądowej i akceptując warunki stanów, milcząco potwierdził, że ponosi odpowiedzialność za wywołanie kryzysu psychicznego w młodym pokoleniu, publicznie przedstawiciele firmy nadal zaprzeczają, by dopuścili się jakichkolwiek nieprawidłowości. Ugodę odmalowują zaś jako zwieńczenie „wieloletnich działań na rzecz wzmacniania pozycji rodziców i wspierania młodzieży". „Zapewnienie nastolatkom bezpiecznego i produktywnego korzystania z naszych platform jest dla Mety absolutnym priorytetem" – oświadczyła spółka.

17,1 mld dol. na pierwszy rzut oka robi wrażenie, lecz nie stanowi poważnego obciążenia dla budżetu firmy, która tylko w 2025 r. odnotowała 60,5 mld dol. zysku. Zwłaszcza że wypłata została rozłożona na 10 lat. W razie przegrania procesu orzeczone przez sąd odszkodowanie byłoby pewnie kilkukrotnie wyższe – prokuratorzy generalni domagali się 200 mld dol. Co więcej, nie ma pewności, że kwota ugody trafi na konto stanów w całości. Meta uzależniła bowiem wypłatę 30 proc. tej sumy – ok. 5 mld dol. – od tego, czy TikTok, YT i Snap wprowadzą u siebie podobne obostrzenia. Ten sprytny wybieg ma jej pomóc wyhamować dalszy odpływ młodych użytkowników do konkurencji.

W dniu ogłoszenia porozumienia spółka Zuckerberga zamieściła w czołowych amerykańskich dziennikach całostronicowe reklamy, w których wezwała głównych rywali do pójścia jej śladem. „Chcemy, aby nastolatki rzeczywiście skorzystały na wprowadzeniu nowego standardu, ale sami nie jesteśmy w stanie tego osiągnąć. Zabezpieczenia zadziałają tylko wtedy, gdy inne firmy z branży będą z nami współpracować" – przekonywała.

Don't ask, don't tell

Batalia przed sądem w kalifornijskim Oakland miała potrwać sześć tygodni. Po przesłuchaniu pierwszych świadków Meta uznała jednak, że ma marne szanse na wygraną i przystąpiła do negocjacji. Wpłynęły na to zwłaszcza obciążające zeznania Arturo Béjara, sygnalisty, który zajmował się kwestiami bezpieczeństwa na Instagramie. Béjar podkreślał, że szefostwo spółki doskonale wiedziało o szkodach, jakie wyrządzają dzieciom social media, lecz w ogóle nie liczyło się z ich dobrostanem. Kiedy ostrzegał przełożonych, że algorytmy podsuwają młodym brutalne treści, a niekończące się scrollowanie wpędza je w depresję, nie reagowali – bardziej interesowały ich liczniki wyświetleń.

Do obowiązków Béjara należało m.in. informowanie prezesa Mety o problemach związanych z jego produktami. W 2021 r. przesłał mu np. maila z wynikami badania, w którym pytał nastolatków o ich doświadczenia na Instagramie. Ponad połowa stwierdziła, że w ostatnich dniach zetknęła się z nieodpowiednimi lub szkodliwymi treściami, a jedna czwarta dostała propozycje o charakterze seksualnym. Béjar zwrócił też uwagę, że zaledwie 0,02 proc. toksycznych materiałów jest usuwanych. Na maila nigdy nie otrzymał odpowiedzi. Zdaniem sygnalisty bezpieczeństwo dzieci niezbyt interesowało szefa Mety. – Z mojego doświadczenia wynika, że kiedy Mark uznaje coś za priorytet, potrafi zdziałać cuda – powiedział sygnalista.

Aby ostudzić krytykę, w ostatnich latach firma wypuściła wiele nowych rozwiązań mających lepiej chronić nieletnich. Sztandarowym przykładem są konta dla nastolatków z rozszerzoną ochroną prywatności oraz ograniczeniami dotyczącymi otrzymywanych wiadomości i wyświetlanych treści. W praktyce był to jedynie chwyt marketingowy. Taki wniosek płynie z raportu opracowanego przez Béjara i badaczy z Uniwersytetu Nowojorskiego i Uniwersytetu Północno-Zachodniego. Po przetestowaniu 47 zabezpieczeń na Instagramie wyszło na jaw, że zaledwie 17 proc. z nich działało zgodnie z opisem. Reszta szwankowała albo została po cichu wycofana.

Nieudany eksperyment

Kluczowym warunkiem oderwania dzieci od ekranów jest realna kontrola wieku. Teoretycznie społecznościówki są dozwolone od 13. roku życia, lecz zwykle wystarczy podać fałszywą datę urodzenia, żeby założyć profil. Zainstalowanie VPN-a, dzięki któremu można symulować logowanie do sieci z dowolnego miejsca na świecie, również nie nastręcza nastolatkom szczególnych trudności. Jak wynika z danych Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę, w Polsce co trzeci uczeń klasy I–III ma konto na TikToku, a co piąty na Instagramie. W USA jest to jeszcze powszechniejsze – w badaniu organizacji Common Sense wyszło, że w społecznościówkach przesiaduje blisko 40 proc. amerykańskich dzieci w wieku 8–12 lat. Według Béjara menedżerowie Mety od początku mieli świadomość, jak wiele dzieci poniżej 13. roku życia korzysta z platform, lecz obowiązywała polityka „don't ask, don't tell" (nie pytaj, nie mów).

Wiosną tego roku gigant odpalił narzędzia weryfikacji wieku oparte na sztucznej inteligencji, która skanuje zdjęcia, posty i komentarze w poszukiwaniu przydatnych wskazówek, takich jak torty urodzinowe czy wzmianki o rozpoczęciu roku szkolnego. Jeśli automat uzna, że konto należy do osoby niepełnoletniej, to je blokuje, a potem usuwa, chyba że właściciel udowodni, że ma ukończone 18 lat. Technologia ta jest obecnie używana w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Wielkiej Brytanii i Australii, ale spółka planuje ją wkrótce rozszerzyć na Unię Europejską i Brazylię.

Ma to powściągnąć zapały ustawodawców i regulatorów, którzy w ostatnim roku zaczęli wytaczać przeciwko big techom coraz cięższe działa. Najdalej poszedł rząd Australii, który pod koniec ubiegłego roku jako pierwszy na świecie całkowicie zakazał korzystania z mediów społecznościowych osobom poniżej 16. roku życia. Wiosną 2027 r. identyczne regulacje mają wejść w życie w Wielkiej Brytanii. W kwietniu Komisja Europejska zakończyła jeden z etapów dochodzenia przeciwko Mecie, wstępnie uznawszy, że nieskończone przewijanie (infinite scrolling), automatyczne odtwarzanie, powiadomienia push oraz inne uzależniające funkcje Instagrama i Facebooka naruszają przepisy aktu o usługach cyfrowych (DSA). Jeśli spółka nie zmieni domyślnych ustawień, będzie grozić jej kara finansowa sięgająca maksymalnie 6 proc. globalnych rocznych obrotów. Trzy miesiące później ustawę blokującą dostęp do platform młodzieży poniżej 15. roku życia uchwalił francuski parlament. Rada Konstytucyjna, najwyższa instancja sądownicza kraju, zakwestionowała nowe prawo, uznając, że zakaz narusza wolność wypowiedzi, ale rząd szykuje już nową wersję projektu.

Australijski eksperyment na razie okazuje się fiaskiem, a jako główną przyczynę wskazuje się nieskuteczne mechanizmy weryfikacji wieku. Według raportu państwowej agencji eSafety ośmioro na 10 dzieci spędza dziś tyle samo czasu w social mediach co przed ustanowieniem zakazu. Zgodnie z przepisami firmy technologiczne mają obowiązek stosowania różnych metod odsiewania nieuprawnionych użytkowników: mogą to być dokumenty tożsamości, skany twarzy, technologie rozpoznawania głosu, analizy profilu czy aplikacje bankowe. Połowa dzieci, które zachowały swoje konta, twierdzi jednak, że platformy nie sprawdziły, ile mają lat; inne zostały uznane za starsze, niż były, bo nawet bardziej wyrafinowane niż formularze narzędzia weryfikacji łatwo przechytrzyć. Dotyczy to np. technologii rozpoznawania twarzy: wielu uczniów obeszło system, posługując się zdjęciami pełnoletniego rodzeństwa, choć nie brakuje takich, którzy prześlizgnęli się, wykorzystując zdjęcie celebryty.

Przypomina to walkę z wiatrakami: Meta chwali się, że w pierwszym półroczu usunęła na australijskim Facebooku i Instagramie ponad 750 tys. dziecięcych profili, ale co z tego, skoro w ich miejsce natychmiast pojawiają się nowe? Uszczelnienie filtrów to delikatna i skomplikowana kwestia prawna, bo im więcej danych trzeba zebrać, aby potwierdzić wiek, tym większe powstają obawy o prywatność młodych ludzi.

Era zombi

Nie brakuje powodów, by powątpiewać w skuteczność zapowiedzianych restrykcji – rodzice będą mogli w każdej chwili wyłączyć dwugodzinny limit czy nocną blokadę. Zamiast przeprojektować aplikacje, Meta po prostu przerzuciła odpowiedzialność za egzekwowanie obostrzeń na użytkowników. A co najważniejsze, ugoda nie ingeruje w podstawową architekturę Facebooka i Instagrama. Funkcje, które upodabniają je do cyfrowych kasyn, dalej będą napędzać spółce astronomiczne zyski. Personalizacja treści, nieskończone przewijanie, automatyczne odtwarzanie filmików i inne manipulujące mechanizmy będą działać bez zmian. Algorytmy nadal będą serwować chłopcom interesującym się sportem mizoginistycznych influencerów w rodzaju Andrew Tate'a, a dziewczynkom poszukującym ćwiczeń na brzuch – porady, jak osiągnąć anorektyczną sylwetkę.

Wprawdzie będzie można wyłączyć spersonalizowany feed i przestawić się na chronologicznie wyświetlane posty, ale raczej niewiele osób się na to zdecyduje. W ugodzie nie ma też mowy o tym, że Meta przestanie gromadzić, wykorzystywać i sprzedawać reklamodawcom dane dzieci bez zgody rodziców. Chociaż ustawa tego zabrania, z wewnętrznych dokumentów i zeznań świadków wynika, że jest to nagminna praktyka.

Te słabości i luki nie powinny jednak przesłaniać szerszego obrazu: stare argumenty, którymi big techy gładko ucinały próby pociągnięcia ich do odpowiedzialności, już nie działają w sądach. Przez lata platformy miały niezawodną tarczę przed zarzutami: pierwszą poprawkę do konstytucji gwarantującą wolność słowa oraz sekcję 230 Communications Decency Act, chroniącą je przed odpowiedzialnością za treści publikowane przez użytkowników. Około czterech lat temu prokuratorzy i prawnicy ofiar w całej Ameryce zmienili strategię: zamiast na szkodliwych treściach skupili się na sposobie zaprojektowania social mediów. Dwa głośne procesy przegrane w tym roku przez Metę potwierdzają, że jej linia obrony się rozsypała.

W marcu zapadło rozstrzygnięcie w sprawie 20-latki o inicjałach K.G.M., która oskarżyła Metę i Google'a (właściciela YT) o wpędzenie jej w depresję i zaburzenia lękowe. Ława przysięgłych w Los Angeles stwierdziła, że giganci świadomie zbudowali uzależniające produkty przyczyniające się do pogorszenia zdrowia psychicznego nastolatków. Młodej kobiecie przyznano 6 mln dol. odszkodowania. Na początku sierpnia sąd w Nowym Meksyku orzekł, że działalność Mety stanowi zagrożenie dla dobra publicznego (public nuisance), i nakazał jej zapłacić łącznie prawie 950 mln dol. Wyrok potwierdził m.in. zarzut, że Facebook i Instagram ułatwiają wykorzystywanie seksualne dzieci.

To na pewno nie jest koniec – spółka mierzy się obecnie z ponad 100 tys. pozwów wniesionych przez ofiary, miasta, stany i okręgi szkolne z całych Stanów Zjednoczonych. Sądy zebrały je w większe pakiety, które mogą się zakończyć kolejnymi rekompensatami.

Ugoda ze stanami nie wywróci modelu biznesowego Mety, ale piętrzące się sprawy i widmo regulacji od Brazylii do Nowej Zelandii mogą znacząco zmienić jej kalkulacje. Julia Angwin napisała w „The New York Times", że spółka wkracza w „erę zombi": użytkownicy uciekają do konkurencji, zyski spadają, a koszty prawne rosną. Na dodatek gigantyczne inwestycje w AI nie przynoszą efektów na miarę ambicji. ©℗

eprasa.pl f6cf2fea5a

Dysproporcje sprawiedliwości

Śmierć „Rzeźnika Bośni" mogłaby stanowić symboliczne domknięcie wojen toczonych na gruzach byłej Jugosławii. Ale nad trumną Ratko Mladicia nie będzie ciszej

Mariusz

Janik

„Niczym królestwa na Ziemi, jedyne królestwo czeka na ciebie w niebiesiech", „My wszyscy jesteśmy Mladiciami", „Haga chciała, żeby umarł za kratkami" – to tylko kilka z wielu komentarzy, które pojawiły się w serbskim internecie po tym, jak 84-letni Ratko Mladić zmarł w szpitalu więziennym w Hadze. Te ostatnie słowa napisał prezydent Serbii Aleksandar Vučić.

Po drugiej stronie też panuje wzburzenie. „Umarł jako szczęśliwy człowiek. Walczył o zwycięstwo faszyzmu – i tenże zatriumfował" – napisała bośniacka dziennikarka oraz analityczka Nidżara Ahmetašević dla stacji Al-Dżazira. „Serbia moralnie okaleczona" – ogłosił na jedynce czołowy dziennik z Sarajewa „Oslobođenje". – „Żaden naród nie staje się ludobójczym z powodu zbrodni jednostek. Ale może zostać moralnie okaleczony, gdy z tych jednostek czyni się wzory do naśladowania, z ich poglądów – zniewagi wobec innych narodów, a z ich pogrzebów – święta narodowe" – podkreśla autor, odnosząc się najwyraźniej do zapowiedzi – oprotestowanych już przez Komisję Europejską – że Mladić będzie miał w Belgradzie państwowy pogrzeb z honorami wojskowymi. Chorwacki premier Andrej Plenković już zapowiedział, że jeśli Serbia urządzi generałowi taki pogrzeb, wraz z nim pogrzebie swoje ambicje wstąpienia do UE.

Być może pod presją Unii Europejskiej i sąsiadów władze w Belgradzie zdecydują się ograniczyć spektakularność pochówku „Rzeźnika Bośni". Jednak wymagać to będzie sporych wygibasów: Vučić i jego Serbska Partia Postępowa wywodzą się z szeregów serbskich ultranacjonalistów, którzy trzy dekady temu wyjeżdżali do Bośni walczyć z innymi narodowościami zamieszkującymi tę republikę. Dzisiejszy prezydent, który jako dziennikarz w czasie wojny w Bośni był w kwaterze serbskich oddziałów w Pale, grywając w szachy z Mladiciem, wiele wysiłku włożył w dawanie swoim wyborcom do zrozumienia, że za jego czasów żaden serbski bohater nie trafiłby do Hagi. I jeszcze jest w krytycznym momencie: zapowiada, że lada chwila zrezygnuje ze stanowiska i rozpisze nowe wybory. Jeśli się ugnie, może zostać opuszczony przez twardy elektorat; jeśli się nie ugnie – zaryzykuje pozycją całego kraju.

Diabelska alternatywa, ale na Bałkanach rzadko kiedy taka nie była.

Jestem muzykiem

Korespondent BBC Allan Little przybył do Jugosławii w 1988 r. i gwałtowny rozpad kraju obserwował z bliska; rychło po wybuchu wojny opublikował – wraz z pracującą dla „The Financial Times" Laurą Silber – reportaż „The Death of Yugoslavia" (Śmierć Jugosławii), który przez kilka lat był najdokładniejszym wytłumaczeniem rzezi, która rozgrywała się na Bałkanach. W pierwszych miesiącach walk Little, kręcąc się tuż przy linii frontu w Bośni, natrafił na wielotysięczną kolumnę uchodźców uciekających z jednego z miast. Zaczepił jednego z nich, 80-letniego mężczyznę, który rozdzielił się z żoną w trakcie ucieczki: „Jest pan Chorwatem czy muzułmaninem?". Ten milczał chwilę i w końcu odpowiedział: „Jestem muzykiem".

Taką właśnie Jugosławię – w której etniczne korzenie, wyznawana religia, brzmienie nazwiska czy akcent nie miały wielkiego znaczenia – niszczyli ludzie pokroju Mladicia. Sięgając do materiałów publikowanych w pierwszych miesiącach konfliktu – najpierw w Słowenii i Chorwacji, a dopiero potem w Bośni i Hercegowinie – można zauważyć, że rozmówcami reporterów krążących po regionie są intelektualiści, żyjący i czerpiący z wszystkich lokalnych kultur i tradycji, często wywodzący się z rodzin o mieszanym pochodzeniu i często sami będący w mieszanych małżeństwach. Dla nich Jugosławia stała się żerem nacjonalistów rozmaitej proweniencji, którzy rozszarpują kraj osłabiony kryzysem gospodarczym i upadkiem bratnich państw socjalistycznych. Ba, nawet sam Mladić podczas pierwszego spotkania z Little'em wygłosił formułę o braterstwie i jedności Jugosławii, choć pominął w wywodach, że Serbia naciskała na utrzymanie jugosłowiańskiej federacji, gdyż odgrywała w niej dominującą rolę.

Wkrótce utrzymywanie pozorów nie było konieczne. Serbskie wojsko w Bośni stało się sukcesorem armii federalnej, przejmując jej arsenały i możliwości logistyczne, czemu zawdzięczało dominację na frontach w 1992 r. Pasmo podbojów zostało potem zastopowane, gdyż Chorwaci i muzułmanie okopali się w swoich bastionach, pomimo embarga na dostawy broni do byłej Jugosławii zbroili się, gdzie tylko się dało, a w Bośni pojawiły się pierwsze kontyngenty ONZ, nieco utrudniając działania wojenne.

Z roku na rok Mladić odgrywał w tym dramacie coraz bardziej pierwszoplanową rolę. Wpasowywał się w pewien model bohatera: powściągliwy i małomówny, stroniący od luksusów, chętnie wizytujący frontowe pozycje. Przed laty rozmówcy wspominali, że do zdobywanych czy odbijanych miejscowości Mladić wjeżdżał na pierwszym czołgu czy w pierwszym aucie. O ile z czasem o innych liderach bośniackich Serbów plotkowano, że są skorumpowani, a ich synowie rozbijają się drogimi autami, o tyle generała nigdy nie posądzono o łapówki czy partyjne gierki. Był ponad tym, a jego życie po wojnie tylko potwierdzało ten stereotypowy obrazek – zaszył się w Serbii, gdzie na działce na południu kraju hodował pszczoły, a rozrywki szukał na meczach piłkarskich w Belgradzie, czasem zachodząc do kapiącej pozłoceniami knajpy „Ruski Car" w centrum miasta.

Żaden polityk serbski z Bośni – czy to Radovan Karadžić, Biljana Plavšić czy Milorad Dodik – nie doczekał się hagiograficznych biografii tytułowanych „Serbski wojownik" i „Tragiczny bohater". Szalenie popularny serbski zespół rockowy Riblja Čorba na płycie koncertowej utrwalił monolog lidera, który prezentując zespół publiczności, mówi, że wszyscy członkowie grupy „są Mladiciami". W telewizji i internecie pojawiła się półprofesjonalna produkcja „Mladici" – o studentach, którzy ukrywają Mladicia w swoim mieszkaniu, a jednocześnie przeżywają zwykłe perypetie dwudziestolatków, przy których asystuje ukrywający się generał w roli dobrego wujka. Oczywiście znaczenie miał też fakt, że „mladić" to po serbsku „młodzieniec", co tylko ułatwiało słowne gierki.

To po części może tłumaczyć, jak rodził się kult bohatera. Ale równolegle narodził się przecież „Rzeźnik Bośni" – i nie był to przypadek. Mladić tolerował, akceptował, a najprawdopodobniej czasem nakazywał żołnierzom brutalność wobec cywilów. Ta sama brawura, która popychała go do wizyt na linii frontu, sprawiała, że lekceważył – wręcz gardził – oskarżycielami, uważając, że zwycięzców się nie sądzi. Zatem parł do zwycięstwa. Materiał filmowy zrealizowany przez serbską ekipę po wejściu Serbów do Srebrenicy – strefy bezpieczeństwa ONZ – latem 1995 r. pokazuje tę postawę w pełnej krasie. Mladić wyjmuje z kieszeni paczkę papierosów i częstuje spiętego, przygarbionego i unikającego kontaktu wzrokowego dowódcę holenderskiego kontyngentu błękitnych hełmów, który miał bronić ludności miasta. – Nie bój się – zachęca jowialnie serbski dowódca. – To nie będzie twój ostatni – śmieje się. Czy to rubasznie, czy pogardliwie, to już pewnie zależy od widza.

Ta nonszalancja sprawiła, że przed trybunałem haskim w zasadzie nie rozegrał się żaden wielki dramat. Jak na realia sądu, który miał wymierzyć sprawiedliwość zbrodniarzom z byłej Jugosławii, proces Mladicia był stosunkowo prosty,



eprasa.pl f6cf2fea5a



FOT. ANDREJ CUKIC/EPA/PAP

Mural z podobizną Ratko Mladicia. Belgrad, 30 grudnia 2021 r.

a materiału dowodowego nie brakowało. Obyło się bez batalii, jaką miał zamiar choćby toczyć Slobodan Milošević, który formalnie mógł dowodzić, że z działaniami Republiki Serbskiej w Bośni nie miał nic wspólnego, w końcu był przywódcą innego państwa. W przypadku Mladicia nie zabrakło nagrań, dokumentów, świadków, zeznań.

Na koniec fala skruchy

Ale nie jeden Mladić rozpętał rzeź na Bałkanach. Dorobek Międzynarodowego Trybunału Karnego dla byłej Jugosławii, nazywanego potocznie na Bałkanach „Hagą", to sformułowane w ciągu 14 lat (de facto 16: pierwsze dochodzenia rozpoczęto jeszcze w 1991 r., podczas gdy formalnie trybunał stworzono w 1993 r.) działalności sądu akty oskarżenia wobec w sumie 161 osób, a finalnie wyroki skazujące wydano w 89 przypadkach.

Można mieć wiele uzasadnionych wątpliwości, czy ten dorobek należy uznać za rozliczenie zbrodni popełnionych na terenie byłej Jugosławii. Przede wszystkim kontrowersje od początku budziła dysproporcja narodowości oskarżonych – w przypadku skazanych było to 62 Serbów, 18 Chorwatów, 5 Bośniaków, 2 Czarnogórców, po jednym Macedończyku i Albańczyku (analogicznie wygląda „rozłożenie" aktów oskarżenia na narodowości). Z perspektywy Serbów trybunał był ewidentnie instytucją antyserbską, przedłużeniem polityki Zachodu faworyzującej nieserbskie państwa powstające na gruzach titowskiej Jugosławii, lekceważącej zbrodnie popełnione na Serbach oraz ich racje w sporach terytorialnych i historycznych dotyczących zarówno przeszłości Bośni i Hercegowiny, jak i Kosowa.

Jednocześnie niektórzy wrócili z Hagi z tarczą. Uniewinnieni zostali m.in. Sefer Halilović (szef armii BiH), Ramush Haradinaj (jeden z przywódców Armii Wyzwolenia Kosowa), Milan Milutinović (prezydent Serbii w latach 1997–2002), Momčilo Perišić (szef sztabu Sił Zbrojnych Jugosławii w latach 1993–1998), Ante Gotovina (chorwacki generał dowodzący Operacją Burza w 1995 r., czyli – zasadniczo – wygnaniem Serbów z chorwackiej Krajiny), Naser Orić (dowódca bośniackich oddziałów w Srebrenicy), Rahim Ademi (chorwacki generał dowodzący walkami z Serbami z Serbskiej Republiki Krajiny). Jeszcze inni wymknęli się sprawiedliwości w ten czy inny sposób: Milošević zmarł przed zakończeniem procesu, Vojislav Šešelj – lider serbskich ultranacjonalistów i patron polityczny obecnego prezydenta Serbii – dostał wyrok 10 lat więzienia, ale zaliczono mu na ten poczet przeszło dekadę spędzoną w areszcie, więc praktycznie wraz z wydaniem wyroku odzyskał wolność.

Każdy z tych przypadków budził emocjonalną reakcję po stronie ofiar. Najmocniejszą po stronie serbskiej, bo tam też odczuwano haską dysproporcję najbardziej. Przecież Gotovina był takim chorwackim Mladiciem, tyle że mniej afiszującym się swoimi dokonaniami. Haradinaja uznawano za architekta polowania na Serbów, jakie urządzono w Kosowie w okresie, gdy wybuchł tam konflikt. Dowodzone przez Oricia oddziały bośniackie dokonywały morderczych rajdów na serbskie wioski w okolicach Srebrenicy, a potem chroniły się za plecami błękitnych hełmów. Jak podejrzewano, za kulisami trybunału patrzono na zbrodnie popełnione przez inne strony konfliktów przez palce, dowody zbierano mniej skrupulatnie, puszczano płazem zastraszanie świadków.

Do tego trudno przyjąć, że owych 89 skazanych ponosi pełną odpowiedzialność za wszystkie zbrodnie popełnione w trakcie postjugosłowiańskich wojen. Trybunał, szczególnie w pierwszym okresie działalności, potrafił wydać wyrok skazujący w sprawie prostego żołnierza – choćby Dražena Erdemovicia, który był jednym z egzekutorów cywilów w Srebrenicy. Potem jednak takie przypadki zaczęto pozostawiać krajowym wymiarom sprawiedliwości, które zbytnią surowością, oczywiście, nie grzeszyły.

Na koniec przyszła jeszcze fala skruchy, powszechnie uważanej za manewr pozwalający skrócić karę. To przypadek Radislava Krsticia: generał będący prawą ręką Mladicia wpadł w ręce trybunału dosyć szybko i skończył z wyrokiem 46 lat więzienia, potem skróconym do 35 lat. Karę odbywał najpierw w Wielkiej Brytanii, gdzie został zaatakowany i poraniony przez współwięźniów, przeniesiono go zatem do Polski – siedział w Piotrkowie Trybunalskim aż do ubiegłego roku (obecnie jest w więzieniu w Tartu w Estonii). W 2024 r. uzyskał prawo do ubiegania się o przedterminowe zwolnienie – i nagle przyznał, że brał udział w zbrodniach, o które został oskarżony. Ponieważ w kilku podobnych przypadkach w przeszłości utorowało to osądzonym drogę do skrócenia kary, uznaje się, że ten przypływ skruchy Krsticia jest skalkulowany na podobny efekt.

Ironią losu, okazuje się też, że nacjonalistyczne jastrzębie, które bez większych skrupułów stawiały pod ścianą cywilów o innym pochodzeniu etnicznym, w areszcie potrafią się świetnie dogadywać. „Mężczyźni przebywający w warunkach niemal takich jak na urlopie w nadmorskim hotelu, są z nielicznymi wyjątkami mili dla siebie. Nie kłócą się i nie sprawiają problemów" – opisywała pisarka Dubravka Ugrešić areszt trybunału w holenderskim Scheveningen w książce „Oni nie skrzywdziliby nawet muchy. Zbrodniarze wojenni przed Trybunałem w Hadze". „Zważywszy na to, że reprezentują różne narodowości, mają różne wykształcenie i różne zawody – są wśród nich byli oficerowie policji, wojskowi, nauczyciele, politycy, taksówkarze, kelnerzy i mechanicy samochodowi – panująca tu harmonia jest niewątpliwie dużym osiągnięciem" – dodawała. Podsądni grywali razem w kosza, muzykowali, spożywali posiłki, a nawet udzielali sobie informacji i porad, jak zachowywać się w kontaktach z trybunałem.

Wątpliwy precedens

Na początku tego stulecia wśród prawników i historyków panowała euforia: trybunał haski wydawał się drugą Norymbergą, skutecznym batem na zbrodniarzy, modelem do powielenia w przypadku rozliczania potencjalnych przyszłych konfliktów. Posypały się opinie, wręcz całe książki o „modelu jugosłowiańskim", bohaterem masowej wyobraźni stała się Carla Del Ponte, szwajcarska prokurator, która dawała się we znaki Belgradowi, Zagrzebiowi, Sarajewu, Prisztinie.

I rzeczywiście, poszczególne państwa byłej Jugosławii przez pewien czas wydawały Hadze ludzi, którzy jeszcze kilka lat wcześniej byli nietykalni: Serbia wysłała do Hagi Miloševicia, a po kilku latach Radovana Karadžicia i Mladicia; Chorwacja oddała generałów – Rahima Admiego, Ante Gotovinę, Mirko Noraca; Bośnia – Sefera Halilovicia, Nasera Oricia czy Hazima Delicia, komendanta obozu koncentracyjnego Čelebići. Jednych chwytali żołnierze misji pokojowych, innych zatrzymywały służby państwowe, kolejni zgłaszali się sami – czując, że parasol ochronny ich ojczyzn został zdjęty.

Z dzisiejszej perspektywy można zakładać, że trybunał haski nie odniósł sukcesu na miarę Norymbergi. Jego siłą była słabość państw powstałych na ruinach Jugosławii – poczynając od tego, że na ich terenie działały międzynarodowe siły wojskowe (Bośnia i Hercegowina, Kosowo), a kończąc na tym, że w pewnym momencie ambicja akcesji do UE stała się ważniejsza od wojowniczego nacjonalizmu (Chorwacja, Serbia). Do władzy dochodziły tam też siły polityczne, którym z rodzimymi nacjonalistami było nie po drodze – jak serbska Partia Demokratyczna czy Socjaldemokratyczna Partia Chorwacji. Nie bez znaczenia było to, że poszukiwanym trudno było zapaść się pod ziemię, ukryć się na lata, tak jak bywa w przypadku zbiegów w Afryce czy Azji.

A przede wszystkim Haga nie narzuciła narracji takiej, jaką wyznaczyła Norymberga. Oczywiście w przypadku wojny domowej znacznie trudniej to zrobić, bo następstwa wydarzeń są mniej klarowne, wiele aktów przemocy popełnianych jest oddolnie, w sposób nieskoordynowany. Nie da się osądzić i wymierzyć sprawiedliwości tym, którzy „tylko" tworzyli atmosferę sprzyjającą pogromom, formułowali strzeliste patriotyczno-narodowe oświadczenia (typu słynnego „serbska ziemia jest wszędzie tam, gdzie są serbskie groby"), lżyli adwersarzy i wychwalali rodzimych siepaczy.

Nie jest to też dobry prognostyk dla Międzynarodowego Trybunału Karnego. Akty oskarżenia sformułowane wobec Władimira Putina, Binjamina Netanjahu, Hibatullaha Achundzady (lidera talibów), Rodrigo Duterte (byłego prezydenta Filipin), ich współpracowników oraz innych osób odpowiedzialnych za przemoc m.in. w Sudanie, Palestynie, Libii, Ugandzie, Demokratycznej Republice Konga czy Kenii pozostaną zapewne w większości symbolicznym gestem ku pamięci ich ofiar. ©℗

eprasa.pl f6cf2fea5a

Przebiegunowanie na krańcu świata

Gdy Donald Trump mówi o poparciu argentyńskich roszczeń do Falklandów (vel Malwinów), Europejczycy chętnie uznają, że bredzi lub blefuje. Rzeczywistość może nas niebawem zaskoczyć

Witold

Sokała

Dwie większe wyspy o poszarpanych brzegach pełnych fiordów i zatoczek, plus 778 małych i zupełnie mikroskopijnych – o łącznej powierzchni zaledwie jednej trzeciej województwa mazowieckiego. Klimat chłodny i wilgotny, mgły i mżawki na zmianę z silnymi wiatrami, częste gwałtowne załamania pogody. Na klifach i plażach foki i pingwiny, nad nimi rybitwy i albatrosy. Trochę gór, ich najwyższy szczyt nieco przerasta świętokrzyską Łysicę. Nieliczne drzewa głównie w stolicy, poza nią królują niskie krzaki i byliny, wrzosowiska i łąki, a gdzieniegdzie spod cienkiej warstwy gleby wyzierają gołe skały z kępami mchów i porostów. Jest niegościnnie i surowo. Podobno pod dnem morza oblewającego archipelag mogą się kryć całkiem spore złoża ropy, ale na razie nikt nie zaryzykował inwestycji w ich eksploatację na dużą skalę. W tej sytuacji miejscowi, w liczbie około 3,6 tys., wciąż żyją głównie z rybołówstwa, obsługi brytyjskiego garnizonu i baz portowych, hodowli owiec oraz wydobycia torfu na potrzeby sąsiadów.

To Falklandy w pigułce. Położone na południowym Atlantyku, na samym skraju amerykańskiego szelfu kontynentalnego, odległe o 480 km od wybrzeży Argentyny. Być może ten egzotyczny (z polskiego punktu widzenia) zakątek świata stanie się niebawem areną wydarzeń, które uzmysłowią nam wielką zmianę w globalnej polityce i strategii mocarstw.

Trochę dziwnej historii

Anglicy odkryli te wyspy w XVI w., ale dopiero u schyłku kolejnego stulecia kolejny z przepływających opodal żeglarzy formalnie dopisał je do zdobyczy swego króla, ochrzcił obecną nazwą na cześć rodzinnego zakątka Szkocji, a kilkadziesiąt lat później zainstalowano symboliczny garnizon czerwonych kurtek. Pierwszą cywilną kolonię założyli natomiast Francuzi, nazywając przy okazji cały archipelag Iles Malouines, od bretońskiego miasta Saint-Malo, z którego wyruszyła w świat ich wyprawa.

Ponieważ Paryż i Londyn darły akurat koty, wcześniejszymi działaniami i roszczeniami brytyjskimi zupełnie się przy tym nie przejmowano. Francja zresztą szybko straciła zainteresowanie odległym, biednym i ponurym terytorium – w ramach skomplikowanych dyplomatycznych rozliczeń scedowała je na rzecz Madrytu, a właściwie podległego mu Wicekrólestwa La Plata. Jego władze zdobyły się na krótki wysiłek, zmusiły do ewakuacji garstkę żołnierzy brytyjskich i przerobiły francuską nazwę na Islas Malvinas. Gdy Londyn zagroził wojną, król Hiszpanii zrobił unik, zwalił winę na nadgorliwych podwładnych z Buenos Aires, podpisał w 1771 r. układ zwracający fort poprzednim właścicielom, ale dołożył do dokumentu jednostronną deklarację, że i tak nadal czuje się suwerenem nad całym archipelagiem. Brytyjczycy ze swej strony po prostu ją zlekceważyli, wysłali żołnierzy z powrotem na placówkę, by już po paru latach zastąpić ich... metalową tabliczką z oświadczeniem o wyłącznych prawach Korony do Falklandów. A potem wszyscy zgodnie zapomnieli o spornych wysepkach.

Dopiero w drugiej dekadzie XIX w., gdy na gruzach hiszpańskiego imperium w Ameryce Południowej urodziła się niepodległa Argentyna – coś zaczęło się dziać na Falklandach (vel Malwinach). Rząd w Buenos Aires, powołując się na geografię oraz wspomnianą deklarację królewską, uznał je za swoje, po czym stworzył tu obóz odosobnienia, w którym rychło wybuchł bunt osadzonych, barwnej mieszanki morderców, grubszych aferzystów i więźniów politycznych. Wmieszali się weń różni awanturnicy z zewnątrz, w tym również wpadający czasami na te zapomniane przez Boga wyspy morscy rozbójnicy oraz łowcy fok i wielorybów, potem jeszcze (przejściowo) marynarka wojenna USA... aż wreszcie ktoś w Londynie przypomniał sobie o utraconej dawno kolonii. W roku 1833 Royal Navy ostatecznie zakończyła chaos i rządy kryminalistów, przywróciła najpierw brytyjską administrację, a następnie osadnictwo. Czyli – cywilizację.

Poza koszarami w centrum stołecznego Stanley zbudowano katedrę, z czasem ozdobioną charakterystyczną kompozycją z kłów waleni. Ciekawostka: stała się ona siedzibą największej na świecie anglikańskiej diecezji, obejmującej Falklandy, Georgię Południową i Brytyjskie Terytoria Antarktyczne, łącznie 1,7 mln km kw., czyli ponad pięciokrotnie więcej niż całe Wyspy Brytyjskie.



Wojna podwójnie zastępcza

Na półtora wieku zapanował spokój, zakłócany jedynie wyciem subpolarnych wichrów. Argentyńczycy jednak nigdy nie zapomnieli o Malwinach. Temat ich odzyskania wracał wielokrotnie w programach politycznych, artykułach prasowych i w literaturze. Tyle że układ sił długo nie pozostawiał złudzeń – brytyjskie imperium było zbyt potężne, żeby rzucić mu otwarte wyzwanie.

Z czasem jednak skorodowało. Swoje zrobiła II wojna światowa, potem wielki kryzys ekonomiczny lat 70. XX w. Rządy laburzystów zupełnie nie radziły sobie z narastającymi problemami wewnętrznymi, a gdy zastąpili je torysi pod wodzą Margaret Thatcher, wkrótce mieli na głowie już absolutny chaos, coraz śmielej działających terrorystów z Irlandzkiej Armii Republikańskiej, strajki górników i pikujące słupki poparcia. Mieli też niedofinansowane od lat siły zbrojne, bardzo aktywną agenturę radziecką oraz lewicowo-liberalne elity, gotowe rzucać rządowi pod nogi dowolne kłody.

Argentyńska junta generała Leopoldo Galtieriego u progu lat 80. XX w. również mierzyła się z trudną sytuacją wewnętrzną, ale – w przeciwieństwie do „Żelaznej Lady" – brakowało jej pomysłu na reformy gospodarcze. W obliczu spadającego PKB, rosnącego bezrobocia i szalejącej inflacji próbowała się ratować krwawym terrorem, lecz opór społeczny i tak stopniowo narastał. W naturalny sposób pojawił się więc pomysł małej, zwycięskiej wojny, która miała odwrócić uwagę opinii publicznej, wzmóc nastroje patriotyczne i przykryć wszystko inne. Początek operacji, podjętej w kwietniu 1982 r. pod kryptonimem Rosario (czyli „Różaniec"), wyglądał dla junty nawet optymistycznie – przeważające siły argentyńskie szybko złamały heroiczny opór garstki brytyjskich żołnierzy, a w Buenos Aires odbyły się entuzjastyczne (i spontaniczne) demonstracje poparcia. Werbalny sprzeciw Rady Bezpieczeństwa ONZ, krajów europejskich, a w końcu także USA mógł się wydawać mało istotny. Podobnie jak zagrożenie sankcjami gospodarczymi.

Co paradoksalne, wcześniej Brytyjczycy już od lat zastanawiali się całkiem poważnie nad pozbyciem się Falklandów, uznawanych za balast, za wyspy mało perspektywiczne ekonomicznie i całkowicie pozbawione znaczenia strategicznego. Ale brutalny akt przemocy spowodował, że ich przynależność do Korony Brytyjskiej nagle stała się punktem honoru nawet dla tych, którzy dzień wcześniej mieliby kłopot ze wskazaniem archipelagu na globusie. A rząd się zorientował, że oto argentyńscy wojskowi zafundowali mu szalupę ratunkową w krytycznym momencie.

Bohaterowie i polityka

Zranione w swej dumie dawne imperium zmobilizowało resztki sił. Decyzja o odbiciu Falklandów zapadła błyskawicznie, już parę godzin po argentyńskim ataku. W cieniu dyplomatycznych zabiegów, podejmowanych za pośrednictwem Amerykanów, opracowano odważny plan operacyjny, a potem zrealizowano go z żelazną konsekwencją, pomimo tego, że niektóre brytyjskie media, mające na pokładach okrętów (a potem także na lądzie) licznych korespondentów, seryjnie zdradzały tajemnice wojskowe, realnie wspomagając przeciwnika. USA udzieliły za to Wielkiej Brytanii mocnego wsparcia wywiadowczego i logistycznego, udostępniając jej także swoje obiekty wojskowe.

Najpierw skłoniono do opuszczenia okolicznych wód argentyńską marynarkę, m.in. przez zatopienie krążownika „General Belgrano". Potem przetrzepano skórę lotnictwu agresora. Następnie wysadzono desant. W działaniach lądo-

eprasa.pl f6cf2fea5a



FOT SUSAN SCHULMAN/GETTY IMAGES

Brytyjski niszczyciel HMS Liverpool patroluje wody wokół Wysp Falklandzkich, 2006 r.

wych do legendy przeszedł 2 batalion spadochronowy, który w skrajnie trudnych warunkach odbijał Darwin i Goose Green. Po forsownym marszu pieszym, przejściowo zupełnie bez jedzenia i z resztkami amunicji, prawie przez cały czas tylko z minimalnym wsparciem lotnictwa i artylerii okrętowej (wskutek nagłego, fatalnego załamania pogody), działając wbrew elementarnym, podręcznikowym regułom sztuki wojennej (czyli nacierając w otwartym terenie z lekką bronią na umocnione pozycje nieprzyjaciela znacznie przeważającego liczebnie), pokazał szokującą dysproporcję wyszkolenia i determinacji, wyższość elitarnych, zawodowych pododdziałów nad kiepsko zmotywowaną i bez przekonania dowodzoną armią z poboru. Przy okazji – prawdopodobnie złamał morale całej argentyńskiej obrony. Ceną spektakularnego sukcesu była śmierć dowódcy i 17 żołnierzy. Straty argentyńskie wyniosły w tej bitwie 200 zabitych i 1400 wziętych do niewoli.

Swoje zrobiły wkrótce także inne pododdziały, głównie 3 batalion spadochronowy, komandosi SAS i gwardia szkocka. W połowie czerwca nastąpił finał, zdobycie stołecznego Stanley i kapitulacja resztek sił argentyńskich. Na bohaterów posypały się wysokie odznaczenia, rząd Margaret Thatcher na fali narodowego entuzjazmu zapewnił sobie zwycięstwo wyborcze, a potem kolejne kadencje (bo społeczeństwo zdążyło odczuć pozytywne skutki niepopularnych wcześniej reform). Natomiast ekipa Galtieriego musiała wkrótce pożegnać się z władzą. Nieudana wojna okazała się jej łabędzim śpiewem, otwierając drogę do demokratyzacji Argentyny.

I znów, starsi pamiętają – dla publiki w ówczesnych krajach „demokracji ludowej" ta błyskawiczna wojna z 1982 r. mimo zaklęć i wysiłków reżimowej propagandy była bardzo optymistycznym sygnałem. Pokazywała, że stary, dobry Zachód jeszcze nie umarł – a wręcz przeciwnie. Że pomimo fatalnych lat 70., naznaczonych m.in. kompromitującą rejteradą z Wietnamu oraz krachem operacji odbicia zakładników w rewolucyjnym Iranie, wciąż umie skutecznie ukąsić wrogów. Kto wie, czy ten impuls nie zaważył pośrednio na całym ciągu dalszym, zwiększając potencjał buntu przeciwko naszej własnej dyktaturze wojskowej.

Bezpośrednio po wojnie Londyn rozbudował swoją obecność wojskową na Falklandach, m.in. tworząc bazę lotniczą w Mount Pleasant, sprzyjał także wzmożonej migracji osób pochodzenia brytyjskiego. W efekcie w referendum przeprowadzonym w 2013 r. aż 99,8 proc. głosujących opowiedziało się za pozostaniem pod brytyjskim panowaniem przy frekwencji wynoszącej około 92 proc.

Odwracanie ról

Po 44 latach od wojny możemy obserwować – pozornie zaskakujące – zmiany stanowisk i odgrywanych ról. Argentyna pod przywództwem libertariańskiego i dosyć ekscentrycznego prezydenta Javiera Milei wychodzi z wieloletniej głębokiej zapaści ekonomicznej. Z problemami – ale jednak. Korzysta przy tym ze znaczącego wsparcia ekonomicznego i politycznego Stanów Zjednoczonych, a prezydentów łączą ostentacyjnie przyjacielskie relacje. Buenos Aires staje się w efekcie coraz wyraźniejszym punktem orientacyjnym dla wielu państw latynoamerykańskich zarówno pod względem modelu gospodarczego, jak i geostrategicznych aliansów, co widać po wynikach kolejnych elekcji na kontynencie.

Wielka Brytania jest tymczasem znowu rządzona przez Labour Party i znowu pogrąża się w coraz poważniejszym kryzysie społecznym i ekonomicznym. Z tym że teraz na horyzoncie nie widać nowej Margaret Thatcher ani równie oczywistych recept jak przed laty. A Stany Zjednoczone bardzo się zmieniły od lat 80. ubiegłego stulecia – nie są już oczywistym liderem całego politycznego Zachodu, połączonym z mniejszymi partnerami więzami wspólnych interesów oraz wspólnych tradycji i wzorców kulturowych. Tonu w polityce bezpieczeństwa nie nadają już dżentelmeni, wywodzący się z klasy WASP („white anglo-saxon protestants"), mający dla Europy spory szacunek nieco z rozpędu, lecz nierzadko nuworysze zapatrzeni w nagą siłę, wojskową, technologiczną lub finansową, otwarcie pogardzający Starym Kontynentem. Dawnym imperium kolonialnym ze stolicą w Londynie także, choć samemu Donaldowi Trumpowi wyraźnie wciąż imponuje możliwość wspólnej fotki z królem Karolem. Ponadto dostrzegają, że interesy londyńskiego City są nierzadko coraz bardziej rozbieżne z ich własnymi.

Rzecz może najważniejsza – w czasach zimnowojennych, gdy blok NATO rywalizował ze Związkiem Radzieckim i jego satelitami, południowy Atlantyk był jednym z najbardziej peryferyjnych i mało istotnych regionów globu. Obecnie, gdy strategie graczy determinuje rywalizacja chińsko-amerykańska oraz wybijanie się na samodzielność licznych mocarstw regionalnych, sytuacja ulega szybkiej zmianie. Chiny zbudowały sobie bowiem solidne przyczółki właśnie w Ameryce Łacińskiej, co z oczywistych względów musi niepokoić Waszyngton. W grze jest w dodatku przyszłość Antarktyki, coraz bardziej dostępnej ze względów klimatycznych i technologicznych, a kryjącej obfite zapasy strategicznych surowców. Bazy w jej pobliżu stanowią więc atrakcyjny kąsek dla każdego, kto serio myśli o swojej przyszłej przewadze.

Argentyna z przyjaznym Amerykanom i bliskim im ideowo rządem stanowi z tego punktu widzenia potencjalnie dużo lepszego partnera i sojusznika niż Wielka Brytania. Na tyle użytecznego, że warto w niego coraz więcej inwestować. Anglosaską solidarność Trump już dawno wyrzucił do kosza, o czym przekonali się Kanadyjczycy i Australijczycy. Za to Latynos Marco Rubio ewidentnie stawia na głosy swych pobratymców, których jest coraz więcej na eksponowanych stanowiskach w biznesie, polityce i w amerykańskich siłach zbrojnych. To lobby stało już za bardzo asertywną i najwyraźniej skuteczną rozgrywką amerykańską w Wenezueli. Teraz prawdopodobnie pracuje nad większą ofensywą ze znacznie wyższą stawką.

Gra wielkich

W kwietniu wyciekł (prawdopodobnie w sposób kontrolowany) wewnętrzny e-mail Pentagonu autorstwa Eldridge'a Colby'ego, w którym zasugerowano, że USA powinny rozważyć zmianę stanowiska w sprawie Falklandów jako karę za postawę Wielkiej Brytanii wobec wojny z Iranem. Argentyński minister spraw zagranicznych Pablo Quirno natychmiast oświadczył, że jego kraj „jest gotowy wznowić dwustronne negocjacje w celu znalezienia pokojowego i ostatecznego rozwiązania". To mogła być ze strony USA forma straszaka i wywieranie presji na Londyn z głównymi celami faktycznie w polityce bliskowschodniej, ale kilka dni temu Trump już otwarcie powrócił do tematu, tym razem wspominając o „karze" za niedostateczne wydatki wojskowe Brytyjczyków (nowy rząd Andy'ego Burnhama mówi jedynie o „wyznaczeniu ścieżki" do zwiększania budżetu sił zbrojnych, w dodatku ma to nastąpić najwcześniej za kilka miesięcy).

Prezydent Milei, który swojego czasu powoływał się na Margaret Thatcher jako jeden ze swoich politycznych i ekonomicznych wzorów do naśladowania, a w sprawie Falklandów/Malwinów w przeciwieństwie do swych lewicowo-populistycznych przeciwników zajmował stanowisko ostrożne i umiarkowane, żeby nie pogorszyć swych relacji z Zachodem i z rynkami finansowymi (co narażało go na ostrą krytykę wewnątrz kraju), najwyraźniej poczuł się ośmielony. Już parę miesięcy temu zamieścił na X bardzo emocjonalny wpis, w którym stwierdził, że „Las Malvinas były, są i zawsze będą argentyńskie". Nie było to pewnie bez związku z faktem, że jego notowania akurat wtedy zaliczyły spory spadek w związku z rosnącą inflacją i skandalami korupcyjnymi w jego otoczeniu. Benjamin Gedan, dyrektor programu Ameryki Łacińskiej w Centrum Stimsona w Waszyngtonie komentował wówczas, że „Falklandy mogą się okazać dla Mileia nieodpartą okazją do zjednoczenia narodu wokół flagi i zwiększenia swojej popularności". Pod tym względem – nihil novi.

Pewnie nie bez dyskretnego błogosławieństwa zauszników prezydenta swoje do pieca dołożyli argentyńscy kibice, podczas niedawnych piłkarskich mistrzostw świata wywieszając prowokacyjne transparenty. Co prawda Milei nadal wyklucza rozwiązania siłowe, domagając się negocjacji i rozstrzygnięć dyplomatycznych, ale analitycy coraz częściej dopuszczają, przynajmniej hipotetycznie, scenariusze maksymalnej eskalacji konfliktu. W tle jest zaś znacznie lepszy niż pół wieku temu stan argentyńskich sił zbrojnych, znacznie gorszy – brytyjskich, a także perspektywa co najmniej życzliwej neutralności amerykańskiej.

Co ciekawe, roszczenia Buenos Aires w międzyczasie wsparły Chiny, które najwyraźniej nie rezygnują z walki o serca i umysły Argentyńczyków, a także innych nastawionych antykolonialnie mieszkańców Ameryki Łacińskiej. ONZ z analogicznych powodów zajmuje stanowisko konsekwentnie niejednoznaczne.

To zaś oznacza, że Argentyna niekoniecznie będzie musiała sięgnąć po narzędzia militarne. Jej szanse na stworzenie szerokiej, dyplomatycznej koalicji antybrytyjskiej stale rosną, a Londyn, uwikłany w kryzys wewnętrzny, z dnia na dzień traci atuty polityczne. Jeśli presja będzie narastać, mieszkańcy Zjednoczonego Królestwa mogą stanąć przed trudną alternatywą – schować dumę do kieszeni i renegocjować status Falklandów albo... zagłosować na partie cieszące się sympatią Białego Domu. W oczywistym celu odzyskania strategicznego wsparcia zza oceanu. ©℗

eprasa.pl f6cf2fea5a



FOT. GORDIAN HEINDRICHS/ MATERIAŁY PRASOWE

Kruszejące mury, czyli AfD marsz po władzę

Michał **Kuź**

Na niemieckiej scenie politycznej wszystko na prawo od CDU było jeszcze niedawno blokowane Brandmauer (zaporą ogniową). Dziś na naszych oczach ten mur kruszeje. A właściwie nie ma już szans, by przetrwał – nawet jeśli nie runie zupełnie przy okazji niedzielnych wyborów w Saksonii-Anhalcie.

6 września Saksonia-Anhalt może się stać pierwszym landem, w którym AfD przejmie władzę. Sondaże dają tej prawicowej partii 40–43 proc. poparcia przy umiarkowanie rosnącej tendencji na ostatniej prostej. Jednak głosy są przeliczane na mandaty w sposób mniej korzystny dla wygrywającego niż używana w Polsce metoda d'Hondta – w efekcie zwycięskie stronnictwo może być pewne samodzielnych rządów dopiero, gdy przekroczy 45 proc.

Nadal przy tym nie wiadomo, jak się zachowa lewicowo-populistyczny Sojusz Sahry Wagenknecht (BSW) i czy w ogóle wejdzie do landtagu. Zapowiada on zaś możliwość współpracy z AfD. Teoretycznie może również dojść do rozłamu wśród tamtejszych chadeków.

Rosnące koszty kordonu sanitarnego

Przed scenariuszem, który zakładałby współpracę z AfD, bardzo bronią się niemieckie elity na szczeblu centralnym. Ale na poziomie landowym wygląda to zupełnie inaczej. Ulrich Siegmund, lider AfD w Saksonii-Anhalcie, bywa widywany z politykami CDU. A niedawno szef chadeckiej młodzieżówki w regionie Nico Elsner stwierdził wręcz, że jest otwarty na głosowanie przy poparciu AfD, również przy wyborze premiera landu, choć odrzuca formalną koalicję rządową.

To bardzo odważna deklaracja. Kiedy w 2020 r. Thomas Kemmerich z liberalnej FDP (wtedy w koalicji z chadecją – CDU) został wybrany na premiera Turyngii w trzeciej turze i przy wsparciu AfD oraz części głosów CDU, w Berlinie natychmiast zapaliły się czerwone lampki. Kanclerz Angela Merkel wezwała wtedy do cofnięcia decyzji, mimo że formalnie nie była to nawet koalicja. Ostatecznie Kemmerich złożył rezygnację, a premierem landu został Bodo Ramelow z ultralewicowej die Linke.

Teraz sytuacja jest diametralnie inna. Kanclerz Friedrich Merz jest pozbawiony autorytetu. Zarzuca mu się brak wyczucia i zrozumienia problemów, którymi żyje społeczeństwo. Według niektórych sondaży popiera go już jedynie kilkanaście procent wyborców. W prasie regularnie pojawiają się spekulacje o jego odejściu i zastąpieniu kimś innym, choćby konserwatywnym premierem Bawarii Markusem Söderem. Gdyby jednak AfD przejęła władzę w Saksonii-Anhalcie, to niewykluczone, że Merz sam podałby się do dymisji. Polityk w takiej sytuacji jak on nie może już pozwolić sobie na tak mocne tupnięcie jak poprzedni kanclerz obozu chadeckiego.

Wielu działaczy CDU opowiada się też za utrzymywaniem równego dystansu między die Linke a AfD. Szerokie koalicje wszystkich ze wszystkimi, mające utrzymać kordon sanitarny, są szczególnie kosztowne dla chadeków. Współpracując ze skrajną lewicą, tracą bowiem resztki autorytetu wśród wyborców – coraz chętniej wybierających AfD jako „prawdziwą prawicę". Dlatego wywodzący się z CDU Michael Kretschmer, premier Saksonii, mówi teraz, że kto „jeszcze wierzy w kordon sanitarny, ten nie rozpoznaje znaków czasu".

Prorosyjskie sympatie i polityczna kalkulacja

Kretschmer, poza chęcią zbliżenia do AfD, jest również znany z sympatii prorosyjskich. Kiedy w 2019 r. podróżował do Moskwy, publicznie mówił o budowaniu z Putinem wspólnej strefy ekonomicznej od Lizbony po Władywostok. W czasie wojny w Ukrainie konsekwentnie opowiadał się za rozwiązaniami pokojowymi i zniesieniem sankcji na Kreml. To stanowisko nie odbiega od poglądów wielu sympatyków oraz działaczy AfD.

Walczący o fotel premiera Saksonii-Anhalt Ulrich Siegmund nawet jak na standardy Alternatywy reprezentuje nurt dość prorosyjski i nacjonalistyczny. Odstaje przy tym nieco od bardziej „pragmatycznej" liderki partii, którą jest obecnie Alice Weidel. Siegmund opowiada się np. za całkowitym zniesieniem sankcji wobec Moskwy. Kluczowym tematem dla niego i jego wyborców jest jednak migracja. Siegmund chce, by w Niemczech – na wzór amerykańskiego ICE – powstała specjalna służba zatrzymująca i przeprowadzająca natychmiastowe deportacje. W AfD pojawiają się też głosy, by dokonywać weryfikacji już przyznanych obywatelstw, np. sprawdzając znajomość języka niemieckiego. Zwycięstwo Siegmunda niewątpliwie wzmocniłoby zwolenników takich rozwiązań.

Albo zwrot w prawo, albo chaos

Być może jeszcze nie w tę niedzielę, ale wkrótce AfD gdzieś w Niemczech sięgnie po władzę. Dni kanclerza Friedricha Merza są policzone, a niemiecka polityka skręca ostro w prawo. Można oczywiście krytycznie oceniać to, co dzieje się u naszych zachodnich sąsiadów. Warto jednak podejść do sytuacji z odrobiną zimnej krwi.

Nie mamy tu do czynienia z rewizjonizmem i neohitlerowskimi, agresywnymi zamiarami wobec sąsiadów, lecz raczej z izolacjonizmem i pewnym szowinizmem. AfD to opcja polityczna, w wielu wymiarach analogiczna do amerykańskiego trumpizmu. Przewodnie hasło brzmi „Deutschland über alles", a nie „America First".



FOT. IMAGO/DTS NACHRICHTENAGENTUR/IMAGO STOCK AND PEOPLE/EAST NEWS

Szefowa AfD Alice Weidel. Erfurt. 4 lipca 2026 r.

eprasa.pl f6cf2fea5a

Tyle że dosłowna realizacja haseł AfD raczej Niemiec nie wzmocni. Weidel, np. na wzór Trumpa, zapowiedziała cięcie wydatków na niemieckie fundacje działające za granicą. Łatwo się domyślić, jak wpłynęłoby to np. na polską politykę oraz to, jak reprezentowane są w niej niemieckie interesy. Tak samo dla niemieckich wpływów skończyłoby się poluzowanie regulacji unijnych i ogólnie osłabienie integracji europejskiej – nie wspominając nawet o ewentualnym wyjściu ze strefy euro, co Alternatywa dla Niemiec oficjalnie postuluje.

Bunt klasy średniej

Żeby zrozumieć, dlaczego AfD promuje politykę zagraniczną, która może Niemcy osłabić, a mimo to zyskuje poparcie, trzeba przede wszystkim zdać sobie sprawę, że to, co korzystne dla niemieckich elit, nie zawsze w taki sam sposób jest oceniane przez sfrustrowaną klasę średnią.

Niemieckie koncerny, jak np. Siemens, dostrzegły np. w zielonej polityce szansę na zwiększenie sprzedaży zielonych technologii. Zwykli ludzie zobaczyli natomiast przede wszystkim wyższe rachunki. Nie było dla nich też jasne, dlaczego to oni mają płacić za lata uzależniania się od rosyjskiego gazu i zamykanie elektrowni jądrowych. Co ciekawe, w sprawach energetyki stanowisko AfD jest dość trzeźwe: jako jedyna partia zapowiada jak najszybsze odbudowywanie wygaszonych reaktorów (uruchomienie ich nie będzie jednak ani proste, ani tanie).

Podobnie – z perspektywy berlińskich elit doszło do zmniejszenia imigracji, więc w czym jest problem? Z perspektywy niemieckiej prowincji prawdziwe trudności związane z codzienną koegzystencją ze społecznościami imigranckimi są naprawdę odczuwalne dopiero teraz.

Czy Niemcy to europejskie USA?

Alternatywa może się mniej lub bardziej wzorować na MAGA. Jest jednak z tym pewien problem. Niemcy nie mają na kontynencie pozycji militarnej i wpływów gospodarczych porównywalnych do tych, jakie posiadają USA w Ameryce Północnej i Środkowej. Już połączone gospodarki Francji i Włoch są większe od niemieckiej. Co gorsza, pomimo intensywnych inwestycji w obronność nie udaje się znacząco zwiększyć stanu osobowego Bundeswehry. Sama tylko Polska ma większą armię.

Wydaje się więc, że AfD-owskie wstawanie z kolan może sprawić, iż Niemcy bardzo boleśnie upadną na twarz. Będą bowiem prowadzić bardzo asertywną politykę nakierowaną na swoje interesy, jak zwykle zresztą, tylko że tym razem już bez instytucjonalnych i retorycznych osłonek. Tymczasem to UE i NATO pozwalały dotąd ukrywać Berlinowi swój interes narodowy pod płaszczykiem europejskiej integracji i wspólnego bezpieczeństwa. Przeciwko AfD-owskim Niemcom będzie natomiast stosunkowo łatwo budować koalicje równoważące ich działania.

Tino Chrupalla, wiceprzewodniczący AfD, w niedawnym wywiadzie powiedział, że nie uważa Rosji za największe zagrożenie dla Niemiec i zasugerował, że bardziej obawia się Polski. Myślę, że gdyby AfD faktycznie doszła kiedyś do władzy, polski ambasador w Berlinie powinien na takie dictum spokojnie odpowiedzieć: „Pan Chrupalla ma prawo do ocen, ale jeśli faktycznie tak uważa, to tym bardziej powinien zastanowić się, jak jego partnerzy odbiorą ewentualne zbliżenie Berlina z Moskwą".

Scenariusze i ryzyko

Możliwe są również inne scenariusze, jednak z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że Niemcy w najbliższej przyszłości będą albo iść w kierunku AfD-izacji sceny politycznej, albo w stronę chaosu. Działacze SPD, tacy jak Sigmar Gabriel, mówią o możliwości częściowej lub całościowej delegalizacji AfD. Jeśli jednak rząd zdelegalizowałby największą partię opozycyjną, do tego z dużym poparciem w armii i policji, to podjąłby, delikatnie mówiąc, działanie dość ryzykowne, które różnie mogłoby się skończyć dla kraju.

Alternatywy dla Niemiec po nadchodzącej serii wyborów w landach i przed wyborami do Bundestagu (w 2029 r. lub wcześniej) sprowadzają się zasadniczo do dwóch opcji: rządy rozłamowców z CDU z AfD albo wielka koalicja wszystkich przeciwko Alternatywie – a więc chaos i niesterowność. AfD może przy tym albo zacząć się normalizować i przypominać dzięki temu starą chadecję, albo prowadzić politykę awanturniczą, m.in. wychodząc ze strefy euro i dystansując się do NATO.

Taka polityka mogłaby być straszna, gdyby Niemcy miały ten potencjał demograficzny, co w latach 30. XX w. – dziś zamiast tragedii może być tragifarsa. Europejskim partnerom pozostanie zaś wtedy zbudować nową architekturę bezpieczeństwa i stabilności uwzględniającą osłabienie oraz wewnętrzne rozbicie Niemiec. Historycznie nie byłoby to nic nowego, to raczej dominująca rola Berlina jest pewnym ewenementem w historii kontynentu i nie musi ona być dana Niemcom raz na zawsze. ©℗

Autor jest politologiem, analitykiem i publicystą. Współtworzy podcast „Trzech Panów K", jest też adiunktem na Uniwersytecie Vizja.
Wyrażone poglądy stanowią prywatną opinię autora i nie są stanowiskiem instytucji z nim powiązanych



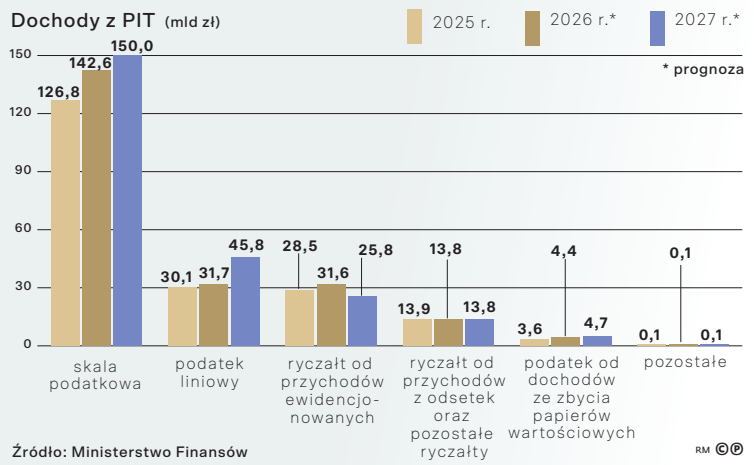
Mniej Więcej

Łukasz

Wilkowicz

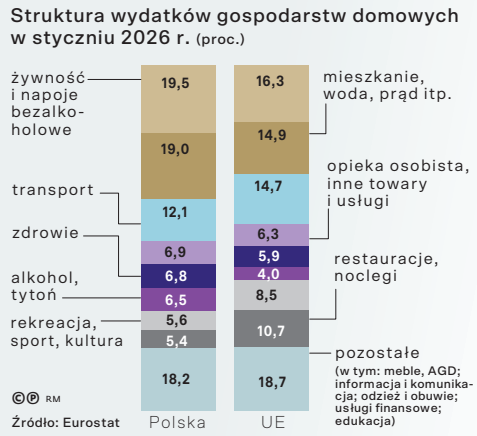
Dochody z PIT wzrosną

Dla budżetu państwa wpływy z podatku dochodowego od osób fizycznych są coraz mniej znaczącą pozycją – w przyszłym roku mają zapewnić mu dochody na poziomie niewiele przekraczającym 30 mld zł. Gros pieniędzy z PIT trafia do samorządów. Ministerstwo Finansów w projekcie ustawy budżetowej na 2027 r. przewiduje, że w przyszłym roku zapłacimy łącznie 240 mld zł PIT. Podatnicy na skali zapewnią 62 proc. tej kwoty. MF spodziewa się wzrostu znaczenia podatku liniowego. Tu dochody mają przekroczyć 45 mld zł (dwa razy więcej niż jeszcze w 2025 r.). Wyraźny spadek jest spodziewany w przypadku ryczałtu od przychodów ewidencjonowanych – co nie dziwi w kontekście planowanego obniżenia limitu uprawniającego do skorzystania z takiej formy rozliczeń. ©℗



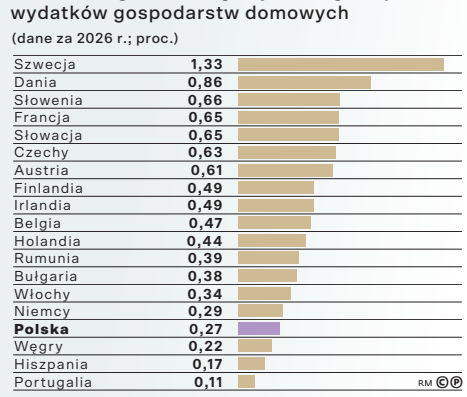
Różnice w koszykach

Inflacja w Polsce w ostatnich miesiącach nie odbiegała specjalnie od średniej w UE, choć była nieco wyższa. W utrzymywaniu niewielkiej różnicy pomagają różnice w koszykach towarów i usług, których zmiany cen służą do wyliczania zmiany ich ogólnego poziomu. Udział żywności i napojów jest u nas tradycyjnie wyższy niż w krajach zachodu kontynentu, które decydują o ogólnym wyniku. Żywność w tym roku była zaś dotąd dość tania. Niższy niż średnia w UE mamy z kolei udział transportu, który zwłaszcza w ostatnich miesiącach mocno drożał. ©℗



Streaming z niskim udziałem

W wynikach badania koszyka konsumpcji warto też przyjrzeć się niektórym małym pozycjom. Możemy się z niego dowiedzieć na przykład, jaką część naszych wydatków stanowią opłaty za serwisy streamingowe i cyfrowe formy udostępniania treści audio-wideo. W Polsce jesteśmy pod tym względem dość oszczędni. U nas na początku tego roku takie opłaty stanowiły mniej niż 0,3 proc. całego koszyka konsumpcyjnego. Daje nam to miejsce pod koniec drugiej dziesiątki wśród krajów UE. Równocześnie ten udział w Polsce szybko rośnie. Dwa lata temu był o ponad połowę mniejszy niż obecnie. ©℗



eprasa.pl f6cf2fea5a

Kraj

Maciej Tomczykiewicz,
poseł Koalicji Obywatelskiej,
adwokat



FOT. @MACIEJ TOMCZYKIEWICZ/FACEBOOK/MATERIAŁY PRASOWE

Antyrządową emocję zawsze łatwo wywołać

Żyjemy w czasach, w których, jeśli coś nie jest wpisane do ustawy na sztywno, to de facto nie obowiązuje, bo jeden czy drugi prawnik stworzy interpretację, która pozwala prezydentowi w zasadzie na wszystko

Z Maciejem

Tomczykiewiczem

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

> Ćwiczy pan jogę albo przynajmniej regularnie robi fikołki?

Niespecjalnie, choć kiedyś próbowałem – od razu zastrzegę, że bez większych sukcesów.

> W polityce za to pełna akrobacja. Jednego dnia pisze pan, że kandydatura Macieja Berka do Trybunału Konstytucyjnego jest błędem, drugiego podpisuje się pod jego zgłoszeniem. Niezły szpagat.

Na poziomie politycznym pomysł budzi emocje, ale nie zmieniłem zdania co do oceny ministra Berka, który ma świetne kompetencje do zadań w Trybunale Konstytucyjnym.

> Proszę pozwolić mi zrozumieć. To zły pomysł, pod którym się pan podpisał?

Wiem, jak to brzmi, ale jestem w tej większej polityce dwa i pół roku i rozumiem ją tak, że trzeba grać drużynowo, nawet jeśli ma się zdanie odrębne na temat przyjętej strategii. W tej konkretnej sprawie poddaję się woli ugrupowania, z którego list startowałem. Jeśli partia uważa, że zgłoszenie Berka do TK to właściwa decyzja, ja tego nie kontestuję, bo na poziomie merytorycznym uważam go za bardzo dobrego kandydata. Moje wątpliwości dotyczą konsekwencji politycznych i odbioru społecznego takiego ruchu.

> Długo pana namawiali do podpisania się pod decyzją, którą uważa pan za błąd polityczny?

Nie. Po prostu potrzeba było podpisu. W sezonie wakacyjnym, przy urlopach wielu posłów, zorganizowanie podpisów nie jest najprostszą sprawą. Gdybym miał merytoryczne wątpliwości co do Macieja Berka, tobym się pod jego kandydaturą nie podpisał.

> „Metodą naprawy TK nie może być jego odbicie lub przejęcie. (...) Obywatele muszą niezależność i bezstronność sądów i trybunałów dostrzegać i w nią ufać. Nie jest to możliwe w przypadku wyboru sędziów, których związki z rządem są widoczne na pierwszy rzut oka". To nie głos opozycji ani symetrystów, tylko apel Fundacji Helsińskiej, Panoptykon, Watchdoga Polska i kilku innych instytucji broniących praworządności.

Szanuję to stanowisko, podobnie jak każdy głos krytyki płynący z troski o standardy, ale równie mocno przekonuje mnie argument polityczny, że musimy dostosować się do panujących reguł, inaczej nie będziemy skuteczni.

> Sami przyjęliście prawo, które nakazywałoby takim ludziom jak Maciej Berek przez kilka lat pauzować, zanim pomyślą o starcie do Trybunału Konstytucyjnego.

To prawda, ale prezydent je zablokował. Chcieliśmy zmienić zasady gry tak, by obowiązywały wszystkich. Nie udało się; trudno oczekiwać od moich kolegów i koleżanek z klubu i partii, by stosowali się do zmian, których nie ma.

> A właściwie dlaczego nie? Wartościami warto się kierować, nawet jeśli nie są zapisane w ustawie albo regulaminie.

Co do zasady zgoda, ale w tym politycznym meczu wyszlibyśmy na boisko z kajdanami i kulą u nogi, a przeciwnicy graliby bez obciążeń i nikt nie gwizdałby im spalonych.

> Krzysztof Izdebski z Fundacji Batorego napisał: „Cały projekt apolitycznego TK idzie do kosza".

Mając na uwadze to, jakich mamy przeciwników, nasze progresywne czy czasem wręcz pięknoduchowskie podejście nie zmieniłoby sytuacji. Przecież nie jest tak, że gdybyśmy się dzisiaj wstrzymali z kandydaturą Macieja Berka, to za rok, pięć czy osiem lat ludzie Kaczyńskiego, Morawieckiego czy Mentzena nie zaproponowaliby kogoś po uszy zaangażowanego w partyjne gry. Żyjemy w czasach, w których jeśli coś nie jest wpisane do ustawy na sztywno, to de facto nie obowiązuje, bo jeden czy drugi prawnik stworzy interpretację, która pozwala prezydentowi w zasadzie na wszystko. Pokazują to decyzje Karola Nawrockiego także w sprawie TK. Widzi pan to, co się dzieje z kwestią przyjęcia ślubowania czwórki sędziów wybranych przez Sejm. I co? My w tym wszystkim mamy przyjmować inne standardy i nakładać na siebie ograniczenia?

> Jeśli chcecie się czymś różnić od Prawa i Sprawiedliwości, które wybrało do TK Krystynę

eprasa.pl f6cf2fea5a

Pawłowicz i Stanisława Piotrowicza, to odpowiedź brzmi: tak.

Biliśmy na alarm przy wyborze Pawłowicz i Piotrowicza, bo byli czynnymi politykami...

...a Maciej „prawa ręka premiera" Berek nie miał nic wspólnego z polityką. Błagam.

Porównywanie Berka do Pawłowicz czy Piotrowicza to daleko idące nieporozumienie. Był to specyficzny minister, odbierany jako merytoryczny przez wszystkich koalicjantów, niemałą część opozycji i dziennikarzy. Pewnie nawet pan potwierdzi...

...że Berek to świetny prawnik i łebski gość? Tak. Ale za chwilę ma włożyć togę sędziowską i oceniać ustawy, których przygotowanie nadzorował w rządzie. Pierwsza lekcja wiedzy o społeczeństwie w liceum to trójpodział władzy. Przecież pan też jest prawnikiem.

I to jest kluczowe pytanie, które trzeba zadać Maciejowi Berkowi na komisji sprawiedliwości i praw człowieka. Obiecuję, że jeśli nie padnie, to sam je zadam: czy były minister będzie w stanie wyłączyć się ze spraw dotyczących ustaw, nad którymi pracował merytorycznie? To wciąż nie jest poziom zaangażowania partyjnego Pawłowicz czy Piotrowicza, Berek nie brał udziału w codziennej naparzance. Jest państwowcem, bardziej ekspertem niż politykiem, trochę jak obecny prezes Najwyższej Izby Kontroli. Mariusz Haładyj był wiceministrem w jednym czy drugim rządzie, ale na końcu nawet PiS pogodził się z tą kandydaturą, bo to fachowiec i osoba do bólu profesjonalna. Myślę, że z Berkiem jest podobnie. Pana pytania tylko potwierdzają moje wątpliwości – obawiałem się takiej reakcji dziennikarzy i organizacji pozarządowych.

Mieszanie ról ministra i sędziego TK jest trudne do obrony.

Przyznałbym panu sto procent racji, gdyby potwierdziły się plotki sprzed dwóch czy trzech miesięcy, że kandydatem do TK ma być Robert Kropiwnicki. To akurat minister aktywny w sporze partyjnym, wieloletni członek Platformy, a dziś Koalicji Obywatelskiej. Trudno Berka zapisać do tej samej politycznej ligi.

Skoro jesteśmy przy prawnikach i pomieszaniu ról: jak się panu podoba zaangażowanie wiceprzewodniczącego klubu Koalicji Obywatelskiej Romana Giertycha w obronę Przemysława Krala z ZondaCrypto?

Wchodząc do polityki, musiałem zadać sobie pytanie, czy chcę być zawodowym posłem i zrezygnować z prowadzenia kancelarii, czy zostać przy pracy adwokata. Uznałem, że nie jestem w stanie pogodzić tych dwóch funkcji, wyobrażałem sobie też dziesiątki sytuacji, w których mogę być postawiony w złym świetle właśnie z powodu podwójnej roli, niezależnie od swoich dobrych intencji. Zawiesiłem działalność gospodarczą, nie wykonuję dziś zawodu, jestem posłem. Roman Giertych podjął inną decyzję, do której miał prawo. Dopóki jego działania mieszczą się w kodeksie etyki adwokackiej, wszystko jest w porządku. Nie mam wiarygodnych informacji, że złamał prawo czy choćby wewnętrzne regulacje adwokackie. Inna rzecz, że to dziś nie do zweryfikowania, bo przecież jego relacja z klientem nie jest i nie może być jawna. Niezależnie od ocen trudno wyrokować z góry, że Giertych połamał zasady czy standardy.

Nie znam na wyrywki kodeksu etyki adwokackiej, ale gdy o 10.30 jest się posłem, a o 11.30 adwokatem w sprawie z polityką w tle, to nie powinno dziwić, gdy Sławomir Nitras, członek pana partii, mówi, że to nie wygląda dobrze.

Z tym akurat nie mam problemu, bo to jest zawsze wybór klienta – jego zaufanie jest najważniejsze w wykonywaniu zawodu adwokata. Dopóki tak jest, wszystko się zgadza.

Facet mógł się zgłosić do Giertycha, bo wie, jak duże są jego wpływy w Ministerstwie Sprawiedliwości i prokuraturze.

To był jeden z powodów, dla których zdecydowałem się zawiesić działalność adwokata. Choć znam siebie i wiem, że nie wykorzystałbym mojej znajomości z ministrem sprawiedliwości czy kimkolwiek w resorcie lub w prokuraturze, by wpłynąć na sprawę, to z zewnątrz mogłoby to tak wyglądać. Roman Giertych deklaruje, że nie narusza zasad. Pozostaje mu wierzyć.

Jest pan człowiekiem wielkiej wiary.

Wracamy tu do tego samego problemu co przy Macieju Berku – przepisy pozwalają łączyć wykonywanie zawodu adwokata z zadaniami poselskimi. Czy to jest dobre? Trudno jednoznacznie stwierdzić. Możemy rozmawiać godzinami o plusach i minusach takiego rozwiązania.

Nawiasem mówiąc, załapał się pan jeszcze na szkołę, kiedy Giertych był ministrem edukacji.

Tak, pamiętam tamten czas i protesty pod hasłem „Giertych do wora". (śmiech)

Gdyby wtedy młodemu Tomczykiewiczowi powiedzieć, że wyląduje w jednym klubie w Sejmie z Giertychem...

Pewnie bym się zdziwił, ale uważam, że człowiek ma prawo do zmiany poglądów – zwłaszcza że minęło 20 lat. Moje spojrzenie na rzeczywistość też wygląda dziś inaczej niż wtedy, gdy miałem kilkanaście lat.

„Dziesiątka na wybory", do której powołał pana premier Tusk, jeszcze istnieje?

Dosłownie kilka minut przed rozmową z panem umawialiśmy się na spotkanie w przyszłym tygodniu. Tak, działamy.

I o czym rozmawiacie?

W zasadzie o wszystkim: od tego, co się dzieje na scenie politycznej przez przygotowania do kampanii po analizy badań socjologicznych i sondaży. Patrzymy do przodu, ale też analizujemy wydarzenia wstecz, kreślimy scenariusze na zmiany nastrojów społecznych. A przede wszystkim skupiamy się na tym, jak dotrzeć z przekazem do wyborców, by w kampanii w 2027 r. to w naszej ofercie znaleźli odpowiedzi na swoje strachy i zmartwienia. Czasy są pełne niepokoju; jedna z głównych bolączek to niepokój o status, który udało nam się w Polsce osiągnąć przez ostatnie 30 lat. Status rozbudził też ambicje, by było jeszcze lepiej. Trzeba tym mądrze zarządzić.

Premier was słucha?

Tak. Nie chodzi o słodzenie szefowi i premierowi, ale naprawdę jestem pełen podziwu, jak Donald Tusk mimo swojego wieku dobrze potrafi odczytywać emocje społeczne. To duża siła naszego lidera: rozumie, skąd się bierze dynamika polityczna, a przy tym jest otwarty na to, co wynika z badań. Nie ma betonu i przekonania, że pozjadał wszystkie rozumy.

Odkryliście już, dlaczego notowania rządu są tak bardzo negatywne?

Dużo rzeczy składa się na ten obraz. Ocena pracy rządu nie jest najlepsza, a zarazem w badaniach poparcie dla Koalicji Obywatelskiej pozostaje stabilne – choć oczywiście walczymy o więcej. Mamy sezon dożynkowy, jeżdżę po wielu takich imprezach w swoim regionie i słyszę, że niezadowolenie z rządu wynika w dużej mierze z braku rozwiązania pewnych problemów, tempa rozliczeń i przeciągającej się realizacji niektórych obietnic. Z drugiej strony ci sami ludzie, którzy narzekają, często rozumieją, że rządzimy w koalicji kilku ugrupowań, że inne zdanie i pomysły ma Lewica, a inne konserwatywny PSL, że jest Polska 2050...

Zgodzi się pan, że waszym głównym wyzwaniem będzie jeszcze raz obudzić wyborców w umownym Jagodnie, którzy podbili frekwencję w 2023 r., a dziś machają ręką na politykę z przekonaniem, że wszyscy jesteście siebie warci?

Tak, to jedno z głównych wyzwań. Rozmawiamy, jak ten trend odwrócić, jak przekonać ludzi do tego, że dalej warto na nas głosować. Wywołanie antyrządowej emocji jest zawsze łatwiejsze niż mobilizacja poparcia dla partii, która rządzi. Ale nie jest tak, że to zadanie nie do przeskoczenia. Na 2027 r. będziemy gotowi.

©℗



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Po co słuchać głosu ludu

Marcin Kędzierski

Kilkanaście lat temu Robert Kagan, jeden z czołowych przedstawicieli amerykańskiego neokonserwatyzmu, zwrócił uwagę na pewien paradoks polityki. Kiedy rządzący robią dokładnie to, czego oczekują od nich obywatele, efekty często okazują się dla tych ostatnich rozczarowujące, czemu dają wyraz w sondażach i przy urnach wyborczych. Powody są stosunkowo proste – przeciętny Smith czy Kowalski patrzy głównie z punktu widzenia własnego interesu (i to dość wąsko rozumianego), a do tego trudno mu dostrzec związki i konsekwencje pożądanych zmian. Dobra polityka musi więc czasem iść w kontrze do bieżących oczekiwań społecznych, choć nie może, a nawet nie powinna ich całkowicie ignorować.

Kagan zauważył ten paradoks jeszcze przed rewolucją związaną z pojawieniem się mediów społecznościowych, czyli w czasach, w których komunikacja polityczna miała głównie charakter jednostronny – od polityka do wyborcy. Współcześnie sprzężenia zwrotne pomiędzy elitami a ludem mają charakter ciągły. Partie, zanim w ogóle wyjdą z jakimś postulatem, najpierw testują reakcje wyborców. Nie zapomnę swojego zdumienia, kiedy prawie dekadę temu jeden z ówczesnych urzędników kancelarii premiera przekonywał, że kluczowym elementem oceny skutków regulacji są... sondaże. Stało to w wyraźnej kontrze do tego, czego starałem się na ten temat uczyć swoich studentów. Tamta wizyta studyjna była zresztą bardzo pouczająca także dla nich – mogli się na żywo przekonać, czym jest współczesna polityka publiczna i według jakich prawideł jest prowadzona.

Polityka sondażowa

Dziś hasło „polityka sondażowa" chyba nikogo już nie dziwi. Co więcej, obrosła ona nawet swoistą ideologią. Mądrość ludu przewyższa ▷

eprasa.pl f6cf2fea5a

Można by sądzić, że skoro debata publiczna eksploatuje podział na elity i lud, nasza wiedza na ich temat będzie pogłębiona. Nic bardziej mylnego. Polscy badacze nie są zainteresowani tym, co się dzieje w społeczeństwie

wiedzę ekspercką. To właśnie zwykli ludzie mają kontakt z rzeczywistością, w przeciwieństwie do oderwanych od niej elit. Politycy różnych opcji powtarzają jak mantrę, że chcą być ich głosem. Mogłoby się wydawać, że wszyscy wsłuchują się w płynące od dołu sygnały. Tymczasem nasza wiedza o ludzie jest wciąż mocno ograniczona. Nowej chłopomanii (czy też ludomanii) towarzyszy kompletna ignorancja. Społeczny wizerunek polskiej prowincji dość mocno odstaje od rzeczywistości – można wskazać zaledwie kilku autorów, którzy w ostatnich latach próbowali pokazać, co dzieje się poza największymi miastami. Wśród nich warto wspomnieć o Jacku K. Sokołowskim, który w książce „Transnaród" wyjaśniał wygraną Zjednoczonej Prawicy w 2015 r., a potem jej porażkę w 2023 r. właśnie zachodzącymi na prowincji zmianami.

Ostatnio nieco światła na te procesy rzucił Jakub Dymek w tekście dla „Tygodnika Powszechnego", którego jednym z punktów wyjścia była 15. rocznica tragicznej śmierci Andrzeja Leppera. Odnoszę zresztą wrażenie, że tak jak wówczas nie rozumieliśmy fenomenu Leppera, tak i dziś niespecjalnie rozumiemy przyczyny popularności na prowincji (choć nie tylko) takich polityków jak choćby Grzegorz Braun. W ostatnich tygodniach spotkałem się z co najmniej kilkoma, nieraz wręcz wykluczającymi się wyjaśnieniami.

Można by sądzić, że skoro od co najmniej 2015 r. debata publiczna do granic możliwości eksploatuje podział na wielkomiejskie elity i lud (cokolwiek oznaczają te kategorie poza chwytliwymi hasłami), nasza wiedza na ich temat będzie pogłębiona. Nic bardziej mylnego. Z różnych powodów polscy badacze nie są szczególnie zainteresowani tym, co dzieje się w naszym społeczeństwie. Może to po części wynikać z tego, że recenzje wniosków grantowych w Narodowym Centrum Nauki przygotowują prawie wyłącznie eksperci z zagranicy, więc nasi naukowcy nie chcą ryzykować podejmowania tematów, które niespecjalnie interesują obcokrajowców. Na pewno nie jest to jedyny powód, choć pomysł, by recenzje oddać w zagraniczne ręce, wydaje się kuriozalny (nawet jeśli NCN traktuje to jako narzędzie obrony przed zarzutami stronniczości). Może jest też tak, że sfeminizowane i progresywne środowisko badaczy społecznych miałoby trudność z dotarciem do „zwykłych" Polaków. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak mieszkańcy Podhala czy Żywiecczyzny reagują na naukowczynię z fioletowymi włosami i kolczykiem w nosie, która przyjechała z Krakowa robić z nimi wywiady albo towarzyszyć im w codziennym życiu w ramach badań etnograficznych.

Rytualne zainteresowanie

Raporty z badań jakościowych postaw czy poglądów politycznych polskiego społeczeństwa niemal od razu stają się przedmiotem gorącej dyskusji, bo jest ich po prostu niewiele. Jeśli chodzi o ostatnie lata, to można wspomnieć o raporcie Macieja Gduli „Dobra zmiana w Miastku. Neoautorytaryzm w polskiej polityce z perspektywy małego miasta" z 2017 r. oraz późniejszych opracowaniach Przemysława Sadury i Sławomira Sierakowskiego („Polityczny cynizm Polaków" z 2019 r.; „Polacy za Ukrainą, ale przeciw Ukraińcom" z 2022 r.; „Ukryty kryzys władzy" z 2024 r.; „Nowy duopol rozwali ten system" z 2025 r.). Do tej listy można dopisać materiały publikowane przez takie instytucje jak CBOS czy IBRiS, ale to głównie informacje sygnalne (czyli wstępne opracowania i komunikaty), a nie precyzyjny obraz tego, co myślą i jak żyją Polacy. Wystarczy wspomnieć, że choć od dłuższego czasu debatujemy o katastrofalnej sytuacji demograficznej, w gruncie rzeczy nie znamy dokładnych motywacji stojących za decyzjami prokreacyjnymi (albo ich braku) – mamy jedynie mniej lub bardziej atrakcyjne hipotezy.

Mając na uwadze z jednej strony niemal rytualne zainteresowanie ludem, a z drugiej jego niezwykłą nieobecność w debacie publicznej, doskonałym pomysłem wydaje się inicjatywa Kanału Zero, który pojechał w Polskę z kamerą i mikrofonem, by oddać głos ludziom. W pewnym sensie jest to nowa odsłona starej idei realizowanej pod szyldem „Lato z Radiem". Oto dziennikarze ruszają ze studia w Warszawie, by słuchacze poznali perspektywę małych miasteczek. Ba, może nawet usłyszeli na antenie swoją sąsiadkę. Media (i elity) bliżej ludzi. Istnieje jednak wyraźna różnica pomiędzy tymi formatami – kiedyś dziennikarze selekcjonowali ludzi, którym dawali głos na antenie. Poznawaliśmy prowincję, ale w taki sposób, w jaki chcieli nam ją pokazać radiowi redaktorzy. Dziś byłoby to traktowane jako przejaw cenzury, bo przecież wypowiedzieć się może każdy. Mamy więc Krzysztofa Stanowskiego, który łapie przechodniów i pyta, jak się im żyje. Możemy usłyszeć, jak żyje nauczycielka WF z Gniezna. Naczelny Kanału Zero doskonale czuje, co się sprzedaje i co chcą oglądać Polacy. W tym duchu należy też ocenić ściągnięcie z innych stacji Michała Bebło z programu „Interwencja" i Przemysława Talkowskiego („Państwo w państwie"), prawdziwych gwiazd formatu. Nieco żartobliwie można dodać, że w tym gwiazdozbiorze brakuje jedynie Elżbiety Jaworowicz ze „Sprawy dla reportera".

Niewątpliwie takie podejście ma wiele zalet. Pozwala lepiej uchwycić, jak myślą zwykli Polacy. Powinniśmy jednak ostrożnie potraktować to, co usłyszymy i zobaczymy. Z pewnością ludzie „na dole" borykają się z realnymi problemami, o których istnieniu możemy nie mieć pojęcia z perspektywy warszawocentrycznych mediów. Warto przy tym pamiętać, że ich doświadczeniu nie zawsze towarzyszy ustrukturyzowany namysł o charakterze systemowym. Oferowane recepty niekoniecznie należy więc traktować serio. W ramach badań terenowych miałem okazję rozmawiać z setkami ludzi. Zwykle spotkania te pogłębiały rozumienie różnych problemów. Kiedy jednak dochodziło do selekcji kluczowych wyzwań i propozycji rozwiązań, rozmówcy nierzadko włączali tryb „auto" i serwowali anegdotyczne opowieści, które dobrze się sprzedają na rodzinnych imprezach, lecz nie mają większego związku z rzeczywistością. To trochę jak z tą nauczycielką WF z Gniezna, która poproszona o wskazanie jej największego problemu wypaliła, że brakuje piłek. Albo z przedsiębiorcami, którzy rytualnie narzekają na nieustannie zmieniające się przepisy podatkowe, choć od dłuższego czasu nie przyjęto żadnych zmian wpływających na ich działalność. W takich sytuacjach nieraz się okazuje, że problemem jest nie tyle opresyjne albo nieobecne państwo, ile sami rozmówcy. To również jest cenna informacja, pokazująca, gdzie mogą tkwić ograniczenia projektowanej polityki.

Patusi czy wzory cnót

Podobna refleksja towarzyszy mi podczas debat telewizyjnych o poważnych sprawach publicznych z udziałem telefonujących do studia widzów. Doświadczenie pokazuje, że głos ludu potrafi skutecznie „rozjechać" nawet jakościową rozmowę – świetnie było to widać choćby podczas niedawnej dyskusji Magdaleny Sobkowiak-Czarneckiej i Michała Dworczyka na temat unijnego mechanizmu SAFE. Wraz z telefonami od widzów zaczął się festiwal banału, a nawet chamstwa. Co gorsza, sami politycy próbowali się dopasować do oczekiwań gawiedzi, więc podkręcali temperaturę sporu, na czym ucierpiał poziom merytoryczny.

Niekiedy sam zadaję sobie pytanie, czemu tak naprawdę ma służyć włączanie ludowej perspektywy: poznaniu problemów zwykłych ludzi czy wykorzystaniu ich do swoich celów wizerunkowych. Skoro tak bardzo interesuje nas pozawarszawska perspektywa, to dlaczego tak mało wiemy o polskiej prowincji? Osobliwe, prawda? Może nie chcemy się dowiedzieć, że Polacy nie są ani patusami przepijającymi 800 plus i defekującymi na wydmach, ani wzorami cnót i współczesnymi wcieleniami Sokratesa? Zróżnicowany obraz polskiego społeczeństwa mógłby odebrać polityczny powab zarówno prowincjonalnemu ludowi, jak i wielkomiejskim elitom. Trudniej byłoby się wzajemnie okładać etykietami.

Czy istnieją w ogóle tematy, w których vox populi może nam powiedzieć coś więcej niż to, co stanowi jego codzienną trudność (oczywiście bez deprecjonowania) lub banalne stwierdzenia, że trzeba wymienić tych na górze? Myślę, że jest co najmniej kilka obszarów, w których perspektywa prowincji z dużym wyprzedzeniem sygnalizowała realne problemy polityki publicznej. Pierwszy przykład to system ochrony zdrowia – głosy o kosmicznych zarobkach i patologiach polegających na prywatyzacji zasobów publicznych przez część środowiska lekarskiego płynęły od dłuższego czasu. Afera w Szpitalu Południowym była tajemnicą poliszynela – dziennikarze odkryli to, co spora część Polaków od lat obserwowała w swoich szpitalach powiatowych. Jestem przeciwnikiem szczucia na lekarzy i wielokrotnie stawałem w ich obronie, ale trudno nie dostrzec, że lud od dawna krzyczał, że system jest postawiony na głowie. Uważam zresztą, że istnieją obszary funkcjonowania państwa, w których ze względu na silny lobbing różnych grup interesu to właśnie lud, a nie media, jest w stanie zwrócić uwagę na nieprawidłowości. Od lat słychać np. utyskiwania na problemy z transportem publicznym, gospodarką odpadami czy planowaniem przestrzennym – to tematy niezbyt chętnie pogłębiane w mediach, a państwo powinno się nimi zająć na poważnie.

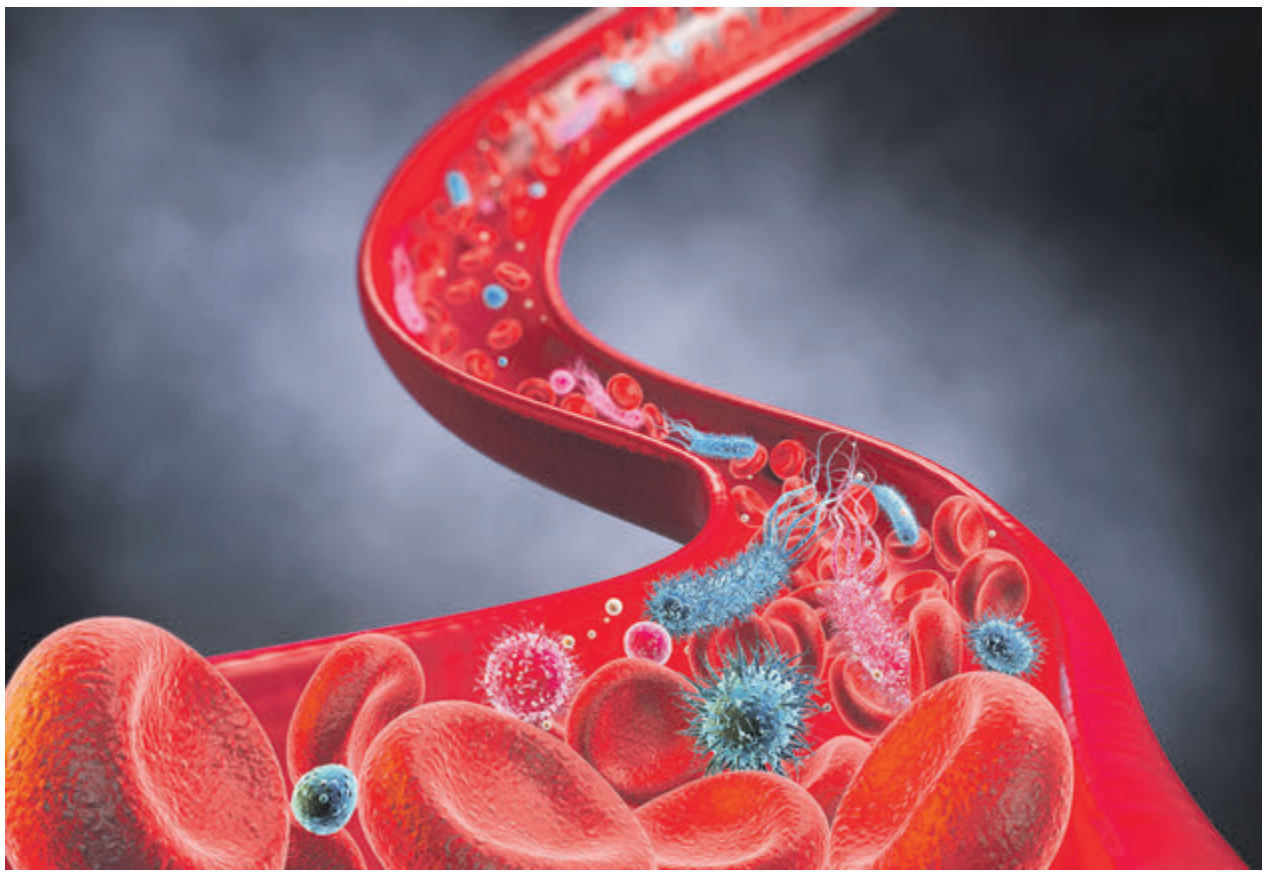
Mamy początek września, więc nie sposób pominąć innej sfery, w której głos ludu sygnalizuje konieczność radykalnych działań. Mowa oczywiście o edukacji – lawinowa ucieczka z publicznego systemu oświaty to wyraźny komunikat, że coś poszło w nim bardzo nie tak. Jednak również w tym przypadku zalecałbym ostrożność w zdawaniu się na ludowe recepty. Gdybyśmy pozwolili rodzicom decydować o kształcie systemu, skończylibyśmy z paradoksem opisanym przez Kagana. Choć wszyscy pragniemy, by nasze dzieci osiągały lepsze wyniki, niekoniecznie chcemy większej presji, zwłaszcza że często prowadzi ona do problemów psychicznych. Nie chcemy też sytuacji, w której to właśnie nasze dziecko padnie ofiarą edukacyjnych nierówności.

©℗

Autor jest publicystą, doktorem nauk ekonomicznych, adiunktem w Katedrze Stosunków Międzynarodowych UEK, członkiem Polskiej Sieci Ekonomii i ekspertem Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego

eprasa.pl f6cf2fea5a

Nauka



FOT. ANUSORN NAKDEE/SHUTTERSTOCK

Zmartwychwstanie komórki

Sepsa potrafi zabić w kilka dni. To dlatego, że w trakcie takiej infekcji nasze komórki dosłownie eksplodują. Badania polskich i amerykańskich naukowców dowodzą, że proces ten można zatrzymać, a same komórki uzdrowić

Z Marcinem

Drągiem

rozmawia Anna Piotrowska

Parę tygodni temu w magazynie „Nature" ukazała się praca, w której dowodzicie, że z pomocą odpowiednich substancji można przerwać gwałtowny proces zapalny występujący np. w sepsie czy COVID-19. Skąd u chemika zainteresowanie infekcjami?

Zawsze interesowałem się chemią i biologią. Pracę magisterską na Uniwersytecie Wrocławskim zrobiłem jednak z chemii nieorganicznej, z syntezy katalizatorów. Ale czułem, że mi to nie pasuje, stąd doktorat na Politechnice Wrocławskiej dotyczył już chemii bioorganicznej. Moja grupa zajmowała się enzymami proteolitycznymi – proteazami. A właściwie ich inhibitorami, czyli związkami hamującymi ich działanie. Proteazy to enzymy, które tną białka. Jak jemy kawałek jakiegoś mięśnia, np. pierś kurczaka, to w żołądku zaczyna działać pierwsza proteaza: pepsyna. Potem mamy kolejne, tnące białko na mniejsze kawałki, np. peptydy, lub wręcz pojedyncze aminokwasy. Z tych pojedynczych molekuł nasz organizm wytwarza potem białka, które regulują jego działanie. Co ważne, proteazy uczestniczą nie tylko w trawieniu, ale wszystkich procesach zachodzących w naszym ciele – od mrugnięcia okiem po ciężkie choroby.

Ile jest tych enzymów?

U ludzi mamy od 550 do 650 proteaz, nie wszystkie zostały jeszcze zidentyfikowane i opisane. Mogą być pożyteczne: pomagają trawić, kontrolują procesowanie białek, chronią przed wirusami czy bakteriami. Ale mogą też działać na naszą szkodę. Tak się np. dzieje z neutrofilową elastazą, która w normalnych warunkach broni nas przed wirusami i bakteriami. Ale u niektórych chorych na COVID-19 w płucach pojawiło się jej za dużo w niepożądanych miejscach. Tnąc inne białka, siała w płucach zniszczenie, stąd wzięły się pocovidowe płucne zwłóknienia. Stąd generalnie nazywamy proteazy „good guys" i „bad guys" – dobrzy i źli kolesie.

Proteazy od lat są ciekawym celem medycznym...

Wiele leków przeciwnowotworowych, antyneurodegeneracyjnych, na schorzenia serca, przeciwbakteryjnych i antywirusowych osłabia czy wręcz hamuje ich działanie. Problem jest jednak taki, że kiedy stworzymy lek działający na jedną z proteaz, często działa też na inne, co powoduje poważne efekty uboczne. Bywa, że mamy perfekcyjną cząsteczkę, która sprawdza się w badaniach komórkowych, biochemicznych, nawet klinicznych. Potem się jednak okazuje, że czynniki wiekowe, genetyczne, a nawet płeć mogą dawać inny układ proteaz w organizmie, co skutkuje tym, że dany lek nie wchodzi do użycia. Natomiast jeśli udaje się uzyskać taki bez efektów ubocznych, to mamy prawdziwy blockbuster, który zarabia przynajmniej miliard dolarów rocznie.

Praca w „Nature", której jest pan współautorem, dotyczy inhibitorów kaspaz. To enzymy biorące udział w procesach apoptozy i pyroptozy – zaprogramowanej przez naturę samobójczej śmierci komórki, która nie działa prawidłowo.

Kilkanaście lat temu zostały opisane nowe mechanizmy śmierci komórki – jednym z nich jest pyroptoza, do której dochodzi podczas stanu zapalnego. Pyroptoza prowadzi do gwałtownego pęcznienia komórki, tworzenia się porów w błonie komórkowej i ostatecznie „wybuchu" komórki, co skutkuje uwolnieniem cytokin do przestrzeni międzykomórkowej. Z takim zjawiskiem mamy do czynienia podczas sepsy.

Cytokiny to białka sterujące reakcją odpornościową naszego organizmu. Kiedy zajęliście się kaspazami?

Pierwszą pracę na temat ich inhibitorów opublikowaliśmy w 2014 r., głównie siłami mojego zespołu z Politechniki Wrocławskiej. Co ciekawe, nasze inhibitory działały nienajlepiej na proces apoptozy, bo często nie przenikały przez błonę komórkową. Jednym z autorów tych badań była Katarzyna Groborz, która robiła u mnie doktorat, a na staż podoktorski pojechała do amerykańskiej firmy biotechnologicznej Genentech. Tam postanowiła kontynuować zaczęte w Polsce prace związane z kaspazami. Trafiła do zespołu wiceprezesa Genentechu, słynnego badacza pyroptozy – to Vishva Dixit. Jego grupa we wcześniejszych badaniach pokazała, że w trakcie tego procesu określone kaspazy działają jak nożyczki: przecinają białko o nazwie gasdermina D, a jego fragmenty tworzą w błonie komórkowej pory, przez które uwalniane są cytokiny. We współpracy z prof. Marcinem Poręba z mojej grupy na PW badaczka zaobserwowała, że opracowane przez nas inhibitory dostają się przez te otwory do wnętrza komórki. I zatrzymują działanie kaspaz, a proces pyroptozy nie tylko się zatrzymuje, ale wręcz cofa. To niewy- ▷

eprasa.pl f6cf2fea5a

obrażalne zjawisko, gdyż udało się udowodnić, że możemy cofnąć śmierć komórki. I wyleczyć stan zapalny. Jest to wielkie odkrycie, a ja jestem szczególnie dumny, bo Kasia i Marcin to moi doktoranci, a teraz prowadzą badania na światowym poziomie. Kasia jest pierwszym autorem w pracy w „Nature", a Marcin współkorespondencyjnym. Ale do leków jeszcze długa droga.

Profesorze, wiemy już, czego dotyczyła ostatnia pańska praca w „Nature", ale tak naprawdę nawet nie liznęliśmy głównego tematu naszej rozmowy: inhibitorów proteaz, które się przez cały czas przewijają w tle. Jest pan bowiem twórcą całej nowej klasy tych substancji opartej na nienaturalnych aminokwasach.

Po doktoracie z chemii bioorganicznej poświęconej właśnie inhibitorom, w 2005 r. wyjechałem do USA na staż podoktorski. Szukałem dla siebie miejsca i tak znalazłem się w Burnham Institute for Medical Research w La Jolla w Kalifornii. To jednostka zajmująca się medycyną doświadczalną z badaniami w obszarze zaawansowanej biochemii czy biologii molekularnej. Byłem tam jedynym chemikiem, chciałem się dowiedzieć, skąd się biorą rozmaite choroby na poziomie komórkowym i w jaki sposób te związki, które robiłem wcześniej, mogą się przyczynić do poszerzenia tej wiedzy. W tym czasie rząd amerykański prowadził liczne rozmowy z firmami biotechnologicznymi, które dostawały dużo publicznych funduszy na badania. Ale jednocześnie, choć powstawało sporo nowych leków, zwłaszcza na nowotwory, ludzie umierali. Okazało się, że większość tych chorób można już leczyć, są jednak diagnozowane tak późno, że nawet superterapie nie działają. Na moje szczęście w La Jolla naprzeciwko instytutu badawczego, w którym pracowałem, znajdował się inny znany ośrodek badawczy Scripps Research Institute, gdzie pracował noblista z 2001 r., chemik Barry Sharpless. Zaproponował on całkowicie nowy typ chemii, tak zwaną click chemistry, za którą dostał w 2022 r. drugiego Nobla. Między innymi dzięki temu narodziła się chemia biologiczna, służąca przede wszystkim do tworzenia narzędzi pozwalających odróżnić zachowanie zdrowej i chorej komórki. Ten kierunek działań bardzo mi się spodobał.

La Jolla to wyjątkowe miejsce. Nazywane jest, w nawiązaniu do Silicon Valley, Biotech Valley. Swoje siedziby mają tam trzy światowej sławy instytuty: SBP Medical Discovery Institute, czyli dawny Burnham, Scripps, Salk, a także Uniwersytet Kalifornijski (UCSD) oraz firmy farmaceutyczne, takie jak np.: Novartis, Pfizer i Celera Genomics, która zasłynęła publikacją pełnego ludzkiego genomu. Inspirujące miejsce.

Pracuje tu mnóstwo noblistów, których można spotkać w kafeterii na śniadaniu. Organizowane są też otwarte seminaria naukowe, można przyjść i posłuchać, co robią w laboratoriach koledzy z sąsiedniej ulicy. Dodatkowo, w czasie mojego stażu, powstała idea piątkowych happy hours w sąsiednim Hiltonie przy piwie w promocyjnej cenie piwa. Na początku nikt nie wierzył, że to zadziała, ale ludzie rzeczywiście zaczęli się spotykać w piątki po południu. W szczytowym okresie przychodziło nawet 300 osób i wszyscy rozmawiali o nauce. Tak poznałem wielu ludzi, z którymi do tej pory współpracuję. Kiedy chodziłem na seminaria do instytutów badawczych czy firm, gdy mówiono o lekach opartych na inhibitorach proteaz, praktycznie zawsze chodziło o związki na bazie naturalnych aminokwasów. To 20 substancji, które w połączeniu z innymi cząsteczkami chemicznymi tworzą białka sterujące działaniem naszego organizmu. Z kolei aminokwasy nienaturalne to syntetyczne analogi naturalnych aminokwasów, mające zmienione łańcuchy boczne lub szkielet. Organizmy nie potrafią ich wykorzystać, bo z uwagi na strukturę nie dają się wbudowywać do białek. Zacząłem się zastanawiać, co by się stało, gdybyśmy w laboratoriach w tworzeniu nowych inhibitorów zaczęli wykorzystywać na dużą skalę nienaturalne aminokwasy. Poszedłem z tym pomysłem do mojego szefa Guya Salvesena, który stwierdził, że na pewno już ktoś na to wpadł, bo to takie oczywiste.

Jak przyjęli ten pomysł inni badacze?

Zrobiłem instytutowe seminarium naukowe, przyszli praktycznie sami biolodzy i byli jednomyślni – nic z tego nie będzie. Bo ewolucja stworzyła 20 naturalnych aminokwasów tak perfekcyjnych i różnorodnych, że nic lepszego już nie uzyskamy. Trochę mi podcięli skrzydła, na szczęście dostaliśmy wtedy trochę nienaturalnych aminokwasów od kolegów z innych grup badawczych i Guy pozwolił mi projekt realizować. Tworzyłem też pierwsze biblioteki nienaturalnych aminokwasów. Zaczęliśmy je testować i zrobiliśmy rewolucję w nauce.

To było już po powrocie do Polski w 2008 r. Na Politechnice Wrocławskiej stworzył pan pierwszą w naszym kraju grupę chemii biologicznej, która zajmowała się wykorzystaniem nienaturalnych aminokwasów w inhibitorach proteaz.

Guy powiedział, że to mój pomysł, i pozwolił mi go zabrać do Polski. Dostałem grant, zatrudniłem trzech doktorantów, z którymi przez prawie dwa lata tworzyliśmy podstawy technologii HyCoSuL (Hybrydowa Kombinatoryczna Biblioteka Substratów). Pozwala ona – w dużym uproszczeniu – ustalić, który ze znajdujących się w naszej bazie nienaturalnych aminokwasów oraz ich związków najlepiej radzi sobie z daną proteazą. Możemy przetestować ok. 600 mieszanin związków i w sumie kilkaset milionów kombinacji w dwa–trzy dni. Synteza biblioteki, każdej dopasowanej do określonych proteaz, trwa kilka dni. Jedna osoba pipetuje, druga na nią patrzy, a trzecia sprawdza protokół. I często śpią w laboratorium, bo tej syntezy nie można zatrzymać. Pierwszą bibliotekę zrobiliśmy dla neutrofilowej elastazy, a drugą dla kaspaz, których dotyczy nasza publikacja w „Nature". Można więc powiedzieć, że po 15 latach od syntezy biblioteki mamy publikację, która rozwiązała konkretny problem biologiczny.

Państwa biblioteki i oparte na nienaturalnych aminokwasach substancje hamujące działanie proteaz początkowo budziły niedowierzanie.

Pojechałem z doktorantami na kongres do RPA poświęcony badaniom proteaz. Pokazałem tam przykład enzymu, w którego przypadku najlepsza kombinacja naturalnych aminokwasów wykorzystywana przez firmy biotechnologiczne miała współczynnik cięcia, według specjalnej skali, 5 tys. Powszechnie uważano, że nic lepszego nie da się zrobić. Myśmy pokazali, że zamieniając w tej cząsteczce wszystkie cztery naturalne aminokwasy na nienaturalne, możemy osiągnąć współczynnik cięcia 50 mln. Nikt nie chciał w to uwierzyć, przekonywano nas, że na pewno coś źle mierzymy. A my wiedzieliśmy, że mamy wiarygodne dane, bo sprawdziliśmy to za pomocą testów w dwóch niezależnych laboratoriach w różnych częściach świata. Niedowierzanie było tak duże, że edytorzy „Nature Protocols" – czasopisma, które nie publikuje wyników badań, tylko opisy procedur badawczych – poprosili nas o przedstawienie krok po kroku pełnej ścieżki naszych działań, w najdrobniejszych szczegółach, by każdy niezależny badacz mógł to powtórzyć. W 2017 r. pokazaliśmy know how, niektórzy próbowali zrobić podobną bibliotekę, powtórzyć proces jej tworzenia i testowania, ale nie mieli odpowiednio wytrenowanych ludzi, którzy byliby w stanie nadzorować potrzebne do tego tysiące reakcji oraz procedur chemicznych. I nagle każdy chciał, byśmy przetestowali wszystkie dostępne proteazy – firmy biotechnologiczne, farmaceutyczne czy naukowcy z placówek akademickich. Jedną z nich był wspomniany wcześniej w kontekście kaspaz i sepsy Genentech, z którym rozpoczęliśmy kilka projektów. Byliśmy zasypani ofertami współpracy, ale dzięki temu mieliśmy dostęp do wielu ważnych z punktu widzenia biologii proteaz. Dawało to nowe możliwości, bo zazwyczaj, kiedy ktoś identyfikował taki ciekawy enzym, zaczynał go badać i nie chciał się dzielić jego zasobami. A tu ludzie wręcz wpychali nam je w ręce.

Pfizer udowodnił, że można zrobić lek na COVID-19 na bazie nienaturalnych aminokwasów. To potwierdzenie wartości naszej technologii

Jednak wasze biblioteki nie od razu stały się nowym elementem tworzenia nowych potencjalnych leków?

Problemem było podejście świata naukowego. Wszyscy mówili: „Wow, świetnie to działa, ładne wyniki akademickie, ale nigdy nie będziecie mieli z tego leku". Kiedyś rozmawialiśmy z ludźmi z amerykańskiej Agencji Żywności i Leków (FDA). Powiedzieli nam, że leku zbudowanego z samych nienaturalnych aminokwasów raczej nie dopuszczą, bo będzie toksyczny, niebezpieczny, chociaż nie mieli żadnych podstaw, by tak stwierdzić.

Gamechangerem okazała się pandemia COVID-19, która spowodowała jeszcze większe zainteresowanie tą technologią.

Jeszcze przed pandemią rozpocząłem współpracę z niemieckim wirusologiem Rolfem Hilgenfeldem, który niestety zmarł w zeszłym roku. Zajmował się koronawirusami, w tym SARS-CoV-1 (epidemia w Chinach w latach 2002–2003) oraz MERS (Bliski Wschód w 2012 r.). Na podstawie doświadczeń z tymi chorobami uważał, że wkrótce czeka nas kolejne tego typu wydarzenie. Mówił: „Marcin, będziemy mieli kolejną epidemię koronawirusa, to pewne. Dlatego musimy zrobić bibliotekę dla ich proteaz, bo nie ma ani leku, ani szczepionki, ani nawet testów. Jak się pojawi – jesteśmy goli". Rolf próbował namówić niemieckie instytucje finansujące takie badania, ale powiedziano mu: „Wy, naukowcy, chcecie tylko wymusić pieniądze na chorobę, której nie ma, a jak już będzie, to w Azji, bo wszystkie pandemie koronawirusów tam były". Na szczęście mój zespół miał trochę pieniędzy, które zarobiliśmy na usługach dla firm farmaceutycznych. Obiecałem Rolfowi, że zrobię bibliotekę dla proteaz koronawirusowych. Skończyliśmy ją w 2019 r. Kasia Groborz zsyntetyzowała ją, a Rolf miał przyjechać do mnie na Boże Narodzenie i przywieźć proteazy z SARS-CoV-1 i MERS. Niestety, wybuchła pandemia, i w grudniu Rolf poleciał do Chin, gdzie próbowali, jak w przypadku wcześniejszych koronawirusów, wykorzystać leki retargetowane, ale tym razem nic nie działało. 10 stycznia 2020 r. Chińczycy opublikowali genom SARS-CoV-2, patrzymy, a tam jest ta interesująca nas proteaza.

Po co temu wirusowi proteaza?

Po dostaniu się do wnętrza komórki SARS-CoV-2 wytwarza jedno wielkie białko, które ma budować jego kolejne kopie. Ale żeby powstały, to białko musi zostać pocięte. I wirus używa do tego własnej proteazy. Zatrzymanie jej działania sprawia, że wirus nie może się namnażać.

Rolf Hilgenfeld przygotował wam tę koronawirusową proteazę?

Tak, i osobiście przywiózł do Wrocławia, bo bał się, że ktoś ukradnie przesyłkę. Był to wtedy niezwykle drogocenny materiał badawczy – za jeden miligram można było dostać 1 mln dol. A Rolf

eprasa.pl f6cf2fea5a

dał nam 20 miligramów tej proteazy. Przebadaliśmy ją w trzy dni i zastanawialiśmy się, co dalej zrobić, bo ludzie z całego świata wypisywali do mnie, czy przypadkiem nie mamy odpowiedniej biblioteki, bo chcieli porównać SARS-CoV-1 z SARS-CoV-2. Postanowiliśmy upublicznić wyniki zawierające porównanie między obydwoma wirusami oraz dane, które nienaturalne aminokwasy najlepiej hamują działanie covidowej proteazy; stało się to, symbolicznie, 8 marca, w Dzień Kobiet. Upubliczniliśmy wyniki za darmo. Wtedy zaczął się boom. Politycy i dziennikarze, a przede wszystkim naukowcy dopytywali o szczegóły naszych prac. Sami dalej też prowadziliśmy badania, chcąc z aminokwasów, które testowaliśmy, zrobić kandydata na lek czy uzyskać lepszą ochronę intelektualną naszych kolejnych wyników, ale w Polsce w początkowych stadiach pandemii opór był wielki i wciąż słyszałem: „Drąg coś sobie wymyślił, nic z tego nie będzie, nie damy mu żadnych pieniędzy".

Dziwne, bo wtedy w Polsce zaczęli umierać na COVID-19 pierwsi ludzie, zamknięto nas w domach i zakazano wchodzenia do lasu... Sytuacja była bardzo trudna.

Stąd liczyliśmy, że na bazie naszego artykułu i testowanych przez nas substancji ktoś zacznie robić lek. Widziałem na LinkedIn, że nasz tekst udostępniony w serwisie bioRixv jest podawany dalej i dalej. Najlepsze prace w „Nature" mają w pół roku po kilka tysięcy wejść na stronę, a tu było ponad 100 tys. w ciągu miesiąca. Wiele firm pracowało wtedy nad lekiem uderzającym w te proteazy, jedną z nich był Pfizer. Rok później, w marcu 2021 r., przedstawili strukturę nowego kandydata na lek i był tam nienaturalny aminokwas tert-leucyna, który w pracy z 8 marca 2020 r. pokazaliśmy jako najbardziej obiecujący w kontekście tworzenia leku na SARS-CoV-2. Ta tert-leucyna była następnie użyta jako „przynęta" do przeszukiwania baz danych znanych leków, co doprowadziło do znalezienia bocepreviru, leku na zapalenie wątroby typu C. Z tego związku można było też wykorzystać zmodyfikowaną prolinę znajdującą się obok tert-leucyny. Zresztą Rolf, jako znany wirusolog zajmujący się od lat proteazami wirusowymi i ich inhibitorami, od razu zidentyfikował te zależności. Połączenie tych dwóch elementów, wraz z wcześniejszą wiedzą, doprowadziło do powstania nirmatrelwiru, czyli substancji czynnej leku Paxlovid firmy Pfizer. To dobry przykład na to, że nowy lek nie zawsze powstaje od zera.

Nie jest panu żal?

W ostatecznym rozrachunku lek, który powstał przy udziale naszych badań, był dla mnie najlepszym prezentem, jaki mogłem sobie wymarzyć. To potwierdzenie wartości naszej technologii. Pfizer udowodnił, że można zrobić lek na COVID-19 na bazie nienaturalnych aminokwasów. Tym samym otworzył ścieżkę do opracowywania kolejnych preparatów na bazie mojej technologii. Stąd w Instytucie Chemii Fizycznej PAN tworzymy Centrum Chemii Biologicznej, gdzie powstaje laboratorium tożsame z tym, jakie miałem we Wrocławiu, ale mające eksplorować zupełnie nowe kierunki badawcze. Oczywiście, na tamtejszej politechnice zostawiłem w pełni funkcjonujący ośrodek, którym kieruje obecnie mój wychowanek Marcin Poręba.

Skąd się wzięły na to pieniądze?

Na fali sukcesu związanego z wykorzystaniem nienaturalnych aminokwasów do produkcji leków postanowiłem zaaplikować o grant Komisji Europejskiej ERA Chairs „PERFECTION", będący właściwie grantem na utworzenie nowej grupy badawczej, a nie stricte naukowym. Jest wyjątkowo trudny do zdobycia, więc nie liczyłem na zbyt wiele. Ku mojemu zdumieniu dostaliśmy go, a oceny naszego wniosku były entuzjastyczne. 2,5 mln euro to pieniądze na całkowicie nowy kierunek badań, na projekty oparte wyłącznie na nienaturalnych aminokwasach. Mamy już trzech kierowników projektów, którzy wcześniej pracowali w najlepszych ośrodkach naukowych na świecie, przyjęliśmy ośmiu doktorantów. Projekt mocno wspiera także Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Pfizer potwierdził wam skuteczność nienaturalnych aminokwasów w strukturach nowych leków. Stąd pomysł na nowe antybiotyki?

Tak. Planujemy tworzyć cząsteczki z nienaturalnych aminokwasów, które będą celować w proteazy w bakteriach, ale także w wirusach czy pasożytach. ©℗



FOT. MAT. PRASOWE

Marcin

Drąg

Profesor, chemik biologiczny, związany z Instytutem Chemii Fizycznej PAN i Politechniką Wrocławską. Jego badania koncentrują się na enzymach proteolitycznych oraz projektowaniu cząsteczek, inhibitorów i sond molekularnych, które pozwalają lepiej poznawać procesy zachodzące w komórkach. Twórca m.in. technologii HyCoSuL, wykorzystującej biblioteki naturalnych i nienaturalnych aminokwasów do badania specyficzności enzymów. Od 2025 r. kieruje Centrum Chemii Biologicznej w Instytucie Chemii Fizycznej PAN w ramach projektu Komisji Europejskiej ERA Chairs

REKLAMA



NOWY NUMER

JAK BUDUJE SIĘ NAJWIĘKSZĄ SIEĆ LABORATORIÓW DIAGNOSTYCZNYCH?

Jakub Swadźba tak bardzo chciał być lekarzem, a ostatecznie został przedsiębiorcą.

Szukaj w salonach prasowych, na Literia.pl i czytaj na Forbes.pl

eprasa.pl f6cf2fea5a

Historia

Wybuchowe poselstwo

Powstanie sowieckiej placówki dyplomatycznej w Warszawie poskutkowało samymi kłopotami

Andrzej
Krajewski



Rosyjska ambasada w Warszawie staje się coraz większym utrapieniem. Gmach przy ul. Belwederskiej zlokalizowany jest w idealnym dla jego lokatorów miejscu – bo tuż obok znajdują się Belweder, gdzie często rezyduje prezydent, MON i służbowa willa premiera. Dla codziennej pracy wywiadowczej trudno o lepszą lokalizację.

Jednak międzynarodowe traktaty gwarantują budynkom ambasad immunitet. Zatem Rosja musiałaby wyrazić zgodę na przeprowadzkę poselstwa. Oczywiście Kreml nie zamierza iść nam na rękę i porzucać tak strategicznie położonego budynku.

Dyplomatyczny arsenał dla terrorystów

„Wczoraj ok. godz. 9 rano nastąpił wybuch prochowni na obszarze Cytadeli" – pisał 14 października 1923 r. dziennik „Czas". W sobotni poranek Warszawą wstrząsnęła eksplozja, którą słyszano nawet w Mińsku Mazowieckiem. Wojskowa intendentura podała, że w powietrze wyleciało 65 tys. kg prochu bezdymnego i 3 t piroksyliny. „Naokoło miejsca katastrofy wznoszą się stosy gruzów, pomieszane z kawałkami żelaza i szczątków ciał ludzkich" – podał „Czas". Zginęło 28 osób, w większości były to żony i dzieci oficerów zakwaterowanych na terenie Cytadeli. Oni sami ocaleli, bo właśnie odbywali poranną zaprawę na brzegu Wisły.

Ruszyło śledztwo. Założono w nim, iż wybuch arsenału nie nastąpił przypadkowo, ale wiązał się z innymi zamachami terrorystycznymi, jakie przetoczyły się przez Polskę w 1923 r. Poczynając od wybuchu bomby na terenie Uniwersytetu Warszawskiego oraz przed redakcją dziennika „Rzeczpospolita", aż po podobne zamachy przeprowadzane w innych miastach, m.in. Białymstoku i Częstochowie.

Trop, na jaki wpadła policja oraz II Oddział Sztabu Generalnego (wywiad wojskowy), prowadził do sowieckiego poselstwa rezydującego w Hotelu Rzymskim przy ul. Nowosenatorskiej. A konkretnie do Polaka na sowieckiej służbie – Mieczysława Łoganowskiego. Oficjalnie II sekretarza przedstawicielstwa dyplomatycznego, a w rzeczywistości oficera policji politycznej GPU. Chroniący go immunitet sprawiał, że był bezkarny. Jednak w grudniu 1923 r. przeniesiono go do Wiednia, a na jego następcę Wacława Orłowskiego spadło zadanie zatarcia śladów, które mogłyby powiązać zamach z placówką dyplomatyczną ZSRR.

Tak jego działania na początku 1924 r. opisał radca poselstwa Grigorij Biesiedowski, gdy uciekł na Zachód: „Po przybyciu do Warszawy Orłowski od razu zaczął czyścić stajnie augjaszowe, które przejął od poprzedników. Była to ciężka praca. Ogniotrwałe safesy w tajnych pokojach były przepełnione materiałami wybuchowymi, bombami, granatami ręcznymi. (...) Na strychu poselstwa, jeszcze za Łoganowskiego, ukryto nie wiadomo po co kilka balonów z gazami trującymi" – pisał. „Większą część materiałów wybuchowych z powrotem odesłano do Berlina, do centralnego oddziału GPU na Europę (...); mniejszą zatopiono w Wiśle, przy pomocy łodzi motorowej" – dodał Biesiedowski.

Po tym sprzątaniu poselstwo mogło przystąpić do rozmów z polskim rządem o ocieplaniu stosunków między oboma krajami.

Spodziewany problem

Nawiązanie stosunków dyplomatycznych między II RP a Rosją Sowiecką nastąpiło 30 czerwca 1921 r. Wraz z nim w stolicach obu państw działalność rozpoczęły poselstwa. Sowieckie ulokowano w Hotelu Rzymskim z nadzieją, że akurat tutaj o wiele łatwiej będzie je nadzorować „dwójkarzom" (pracownikom II Oddziału SG – red). Osoby orientujące się co do specyfiki komunistycznego reżimu spodziewały się bowiem wszystkiego, co najgorsze.

Kierownik Oddziału Informacyjnego MSZ Kazimierz Olszewski alarmował, że „akcja Poselstwa polegać będzie na organizowaniu sił bolszewickich w Polsce, względnie nawet bojówek bolszewickich i zapewne wkrótce ujawni się przez masowe strajki, może nawet zamachy na poszczególne osoby lub obiekty". Jego obawy podzielali minister spraw zagranicznych Konstanty Skirmunt oraz szef Dwójki ppłk Ignacy Matuszewski. Utworzono więc Urząd Czterech. W skład gremium weszły osoby wydelegowane przez MSZ, II Oddział SG oraz policję. „Jego zadanie polegało na koordynacji przedsięwzięć kontrwywiadowczych wobec personelu poselstwa sowieckiego" – opisuje Andrzej Pepłoński w monografii „Kontrwywiad II Rzeczpospolitej".

Swoją pracę Urząd Czterech zaczął, nim jeszcze sowieccy dyplomaci wprowadzili się do Hotelu Rzymskiego. Na ten moment chciano przygotować się jak najstaranniej, zwłaszcza że młode państwo nie zapewniało funkcjonariuszom wielu niezbędnych do działań wywiadowczych narzędzi. „Podczas pierwszego posiedzenia rozważano także sprawy techniczne. M. Swolkień (naczelnik Wydziału IV Komendy Głównej policji – red.) zwrócił uwagę na to, że poselstwo sowieckie miało do dyspozycji sześć aut osobowych, a nasza policja polityczna nie dysponowała ani jednym pojazdem" – relacjonuje Pepłoński. Poza tym Swolkień zauważył, że skoro „wywiadowcy będą zmuszeni odwiedzać luksusowe restauracje, powinni otrzymać odpowiednie ubrania".

Po tych uzgodnieniach, jeszcze nim 6 sierpnia Hotel Rzymski stał się oficjalnie budynkiem sowieckiego poselstwa, objęto go ścisłą obserwacją. Wśród personelu ulokowano agentów policji; jednocześnie poszukiwano kobiet należących podczas I wojny światowej do Polskiej Organizacji Wojskowej, pragnąc i je zaangażować do pracy operacyjnej. Do współpracy wciągnięto też dorożkarzy, posłańców oraz całą służbę hotelową, a nawet ochotników z Ligi Antybolszewickiej oraz Straży Kresowej. Nie zapominano o założeniu w telefonach podsłuchów i potajemnym otwieraniu listów. Jednak wszystko to okazało się niewystarczające w rozgrywce z ludźmi, którzy przez całe życie zajmowali się działalnością wywrotową i organizowaniem zamachów.

Patroni chaosu

Wkrótce sowieckie poselstwo stało się centrum dystrybuowania funduszy dla organizacji wywrotowych. Za pośrednictwem chronionej immunitetem poczty dyplomatycznej przekazywano pieniądze członkom Komunistycznej Partii Robotniczej Polski i Komunistycznej Partii Białorusi szykującej antypolskie powstanie na Kresach. Sowieccy dyplomaci starali się też inspiro-

eprasa.pl f6cf2fea5a



FOT. WACŁAW ROKOSZ/DOMENA PUBLICZNA/BIBLIOTEKA NARODOWA

Efekt rosyjskiego zamachu na prochownię warszawskiej Cytadeli. 13 października 1923 r.

wać swoich podopiecznych, zlecając im kolportaż antyrządowych ulotek i broszur, podburzanie robotników do strajków oraz przeprowadzanie akcji terrorystycznych.

Stojącemu na czele policji politycznej Czeka oraz GPU Feliksowi Dzierżyńskiemu bardzo zależało, aby w jego ojczystym kraju komuniści jak najszybciej przejęli władzę, po czym wprowadzili Polskę do tworzonego Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich (Sowieckich). Dlatego oddelegował do Warszawy zaufanego człowieka, Mieczysława Łoganowskiego. Ten konspiracyjnej działalności oraz przeprowadzania zamachów nauczył się, wstępując 10 lat wcześniej w szeregi PPS, a następnie POW. Przewrót bolszewicki zastał go w Moskwie – wówczas związał się z komunistami i zaczął robić szybką karierę u boku Dzierżyńskiego. Gdy w 1920 r. Armia Czerwona maszerowała na Warszawę, Łoganowski zajmował się formowaniem sił zbrojnych Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski. Gdyby bolszewicy zwyciężyli, miał szansę sprawować w Warszawie funkcję podobną do tej, jaką pełnił Dzierżyński w Moskwie.

Rozczarowanie po porażce zrekompensował sobie trzy lata później. „Zorganizował on sprawnie funkcjonującą siatkę wywiadowczą, werbując członków Komunistycznej Partii Robotniczej Polski i sympatyków partii komunistycznej spośród kolejarzy, rzemieślników i robotników. Wykorzystywał do działań szpiegowskich przedstawicieli Związku Młodzieży Komunistycznej, odbywających służbę w Wojsku Polskim" – pisze w opracowaniu „Z działalności sowieckiego wywiadu wojskowego przeciwko II Rzeczpospolitej" Piotr Kołakowski. Jednocześnie przygotowywał działania nazywane dywersyjnymi, czyli zamachy terrorystyczne. „Akcjami dywersyjnymi kierowało dwóch byłych oficerów polskich komunistów: Henryk Bagiński i Antoni Wieczorkiewicz" – uzupełnia Kołakowski.

To oni na zlecenie Łoganowskiego zaplanowali ataki bombowe, które wstrząsnęły Warszawą, Krakowem i kilkoma innymi miastami. Gdy akcja nabrała rozmachu, w planach znalazło się wysadzenie w powietrze gmachu Sztabu Generalnego przy pl. Saskim, zgładzenie premiera Wincentego Witosa i prezydenta Stanisława Wojciechowskiego, a nawet zabicie Józefa Piłsudskiego. „Plan zakładał, że przebrana za studentów endeckich bojówka komunistyczna napadnie nocą na słabo strzeżoną willę marszałka w Sulejówku i zgładzi go. Śmierć Piłsudskiego w zamyśle organizatorów zamachu miała spowodować rozruchy w Polsce, ponieważ czyn ten spowodowałby akcję odwetową piłsudczyków wobec prawicy politycznej" – opisuje Kołakowski. Na szczęście dla Marszałka skończyło się na zamiarach.

W maju 1923 r. Bagiński i Wieczorkiewicz zostali aresztowani i od tego momentu liczba zamachów znacząco spadła. Acz na finiszu kampanii terrorystycznej, feralnego 13 października 1923 r., w powietrze wyleciała warszawska Cytadela. Pragnąca się pochwalić sukcesem policja jako głównych winnych wskazała trzymaną od dawna za kratami dwójkę rosyjskich oficerów, choć prezentowało się to absurdalnie. Szczęściem dla polskiego wymiaru sprawiedliwości mieli oni wystarczająco dużo na sumieniu, by otrzymać wyroki skazujące także za inne zbrodnie. Sąd uznał 30 listopada 1923 r. Bagińskiego i Wieczorkiewicza winnymi przygotowywania i podkładania ładunków wybuchowych na trasach kolejowych oraz „uszkodzenia przez wybuch pomieszczeń instytucji rządowych w Państwie Polskim i uszkodzenia przez wybuch zamieszkałych budynków rządowych". Wyrok brzmiał – kara śmierci przez rozstrzelanie.

Tydzień po jego ogłoszeniu sowieckie poselstwo przekazało stronie polskiej ofertę z Moskwy. Rząd ZSRR zaproponował wymianę najcenniejszych ludzi Łoganowskiego na uwięzionych przez komunistów: polskiego konsula Józefa Łaszkiewicza wraz z rodziną i księdza Bronisława Ussasa. Propozycję przyjęto, lecz gdy w marcu 1925 r. Bagińskiego i Wieczorkiewicza przewożono pociągiem w kierunku granicy, aby dokonać wymiany, obu zastrzelił konwojujący ich policjant Józef Muraszko. Zeznając potem przed sądem, oświadczył: „Przyznaję się do zabójstwa dwóch wściekłych psów!".

Odwilż mimo przymrozków

„W sierpniu 1924 r. Warszawa wystosowała notę do komisariatu spraw zagranicznych ZSRR z propozycją zwołania konferencji, której celem byłoby unormowanie wzajemnych stosunków. Wkrótce potem do Moskwy udał się jako poseł Rzeczpospolitej Polskiej, Stanisław Kętrzyński, do Warszawy zaś przybył poseł radziecki Piotr Wojkow" – opisuje w książce „Stracone dekady – Historia ZSRR 1917–1991" Mieczysław Smoleń. „Rozpoczęto także rozmowy nad zawarciem paktu o nieagresji" – dodaje.

Pół roku wcześniej zmarł Lenin i na Kremlu trwała zażarta walka o sukcesję. Prący do zwycięstwa Józef Stalin uznał, że do czasu ostatecznego jej rozstrzygnięcia lepiej utrzymywać z Polakami poprawne relacje. Poza tym pozbył się z Moskwy człowieka będącego przez wiele lat jednym z najbliższych współpracowników zmarłego wodza rewolucji. Wojkow wraz z nim rezydował w Szwajcarii i w kwietniu 1917 r. obaj zostali przewiezieni przez niemiecki wywiad do Rosji, żeby obalić Rząd Tymczasowy. Potem nadzorował zgładzenie cara Mikołaja II. „Udział jego w akcie ekateryburskim (tj. egzekucji cara Mikołaja II wraz z rodziną 17 lipca 1918 r.), był w tym czasie już wiadomy, stąd prasa polska podjęła ostrą kampanię przeciwko jego nominacji. Ministerstwo spraw zagranicznych kwaśno zakomunikowało Moskwie, że wolałoby inną kandydaturę. Lecz politbiuro było uparte" – relacjonuje Sławomir Dębski w opracowaniu „Zagadka zamachu na Piotra Wojkowa, sowieckiego posła w Warszawie, 7 czerwca 1927 roku".

Rząd Władysława Grabskiego ustąpił, a przejęcie kierownictwa nad placówką przez starego towarzysza Lenina nie okazało się dla Polski takie złe. Zesłany do Warszawy Wojkow nad działalność szpiegowską i terrorystyczną przedkładał cieszenie się życiowymi przyjemnościami. Spośród nich najwyżej cenił piękne kobiety oraz duże pieniądze. „Już po moim wyjeździe z Warszawy skłonność Wojkowa do flirtu rozwinęła się w wyższym jeszcze stopniu. Zaczął włóczyć się nawet po Nowym Świecie, zdobywając łatwe sukcesy u spacerujących «niewiast». Nadomiar wszystkiego zdarzyła się tajemnicza historia zaginięcia kilku tysięcy dolarów z kasy ogniotrwałej" – wspominał Biesiedowski. „Wojkow zapewnia, że spalił pieniądze nieświadomie, przy niszczeniu tajnych papierów w obecności sekretarza poselstwa" – dodaje. Przy czym sekretarz potem wszystkiemu zaprzeczał.

Ale relacje polsko-sowieckie stawały się coraz mniej wrogie. Wreszcie 3 sierpnia 1925 r. zawarto umowę moskiewską, określającą procedury rozstrzygania zatargów granicznych, i dodano do niej protokół jampolski. W nim obie strony zobowiązały się do współdziałania przy likwidowaniu band przemytników i rabusiów grasujących na terenach przygranicznych.

Zamach stanu, który przeprowadził w maju 1926 r. Józef Piłsudski, również przyjęto w Moskwie z zaskakującym spokojem, choć przecież uważano Marszałka za arcywroga komunizmu. Ocieplenia relacji nie popsuła nawet tragiczna śmierć Wojkowa. Dębski przytacza jej opis z akt sądowych. „7 czerwca 1927 r. o godz. 9 rano poseł Z.S.S.R. Piotr Wojkow w towarzystwie urzędnika poselstwa Jerzego Grygorowicza przyjechał na dworzec główny w celu spotkania powracającego z Londynu przez Berlin Arkadjusza Rosenholca, pełnomocnika rządu Z.S.S.R. w Londynie". Tam czekał już na niego z rewolwerem w kieszeni 19-letni Rosjanin Borys Kowerda. Wydobył go, gdy poseł witał się przy drzwiach wagonu z Rosenholcem. „Wojkow cofnął się, począł uciekać, napastnik strzelał w ślad, w odpowiedzi na co Wojkow wyjął z kieszeni rewolwer, odwrócił się i wymierzył kilka strzałów w napastnika, poczem zachwiał się i upadł na ręce nadbiegłego przodownika P.P. Jasińskiego. Napastnik widząc zbliżającą się policję, na rozkaz której podniósł ręce do góry i rewolwer rzucił na ziemię" – opisano w akcie oskarżenia.

Wymiana strzałów między szefem sowieckiego poselstwa a rosyjskim emigrantem stała się sensacją w Europie. Zastępca komisarza spraw zagranicznych ZSRR Maksim Litwinow w rozmowie z polskim posłem w Moskwie Stanisławem Patkiem oskarżył stronę polską jedynie o zaniedbania. Natomiast całą winę zrzucił na Wielką Brytanię, jako organizatora zamachu. Tak bowiem chciał Stalin, którego nie rozwścieczyło nawet to, że polski sąd skazał zabójcę „jedynie" na 15 lat ciężkich robót.

Być może dlatego, że przywódca ZSRR w owym czasie był zajęty likwidowaniem bliskich towarzyszy Lenina. Co ciekawe, jak podkreśla Dębski, „wiadomością, iż Wojkow będzie 7 czerwca na Dworcu Głównym w Warszawie w związku z przejazdem Rosenholca przez stolicę Polski, dysponowało tylko najbliższe otoczenie kierownika placówki. Nieszyfrowany telegram z Berlina o wyjeździe Rosenholca wpłynął do poselstwa 6 czerwca o godzinie 22.00".

Zagadką pozostaje, jakim cudem zamachowiec już o poranku wiedział, gdzie się zaczaić na ofiarę. Acz w takich przypadkach cuda się nie zdarzają i najprostsze wyjaśnienie brzmi, iż tę informację przekazano mu z poselstwa.

Od kwietnia 1926 r. wszystkim, co związane z tajnymi służbami, zarządzał tam attaché wojskowy Konstantin Miechonoszyn. Krwawe rozgrywki, jakie toczyli ze sobą Sowieci (Stalin kazał rozstrzelać Miechonoszyna w 1938 r. – red.), dobrze wpływały na relacje II RP z ZSRR. „31 sierpnia 1927 r. strona sowiecka ogłosiła komunikat o zakończeniu incydentu i wznowieniu negocjacji polsko-sowieckich na temat traktatu o nieagresji i umowy handlowej" – opisuje Dębski.

Zaś poselstwo, przeprowadzone z Hotelu Rzymskiego do kamienicy Glassów przy ul. Poznańskiej, zajmowało się nadal szpiegowaniem oraz werbunkiem agentury. Ale od organizowania zamachów terrorystycznych trzymano się już z daleka. ©℗

eprasa.pl f6cf2fea5a

Kultura w pudle



Gdy w sztabach wojskowych i gabinetach polityków trwały przygotowania do wojny, muzea, biblioteki i archiwa gorączkowo pakowały swoje najcenniejsze zbiory

Sebastian

Pawlina

Latem 1939 r. w polskiej prasie dominował jeden temat – wojna. Wydania od pierwszej do ostatniej strony wypełniały wspomnienia I wojny światowej, opisy manewrów wojskowych, cytaty z polityków i relacje z tego, kto się z kim widział. Autorzy artykułów próbowali przewidzieć rozwój wydarzeń, a zarazem uspokajać czytelników, że rzeczywistość nie jest tak straszna, na jaką wygląda.

Tymczasem wciąż toczyło się normalne życie. W poniedziałek 31 lipca „Kurier Warszawski" pisał o warszawskich pałacach, budowanych przez bobry tamach, nowych książkach, rozkładach jazdy autobusów, a także o odbywającym się w Londynie XV Kongresie Historii Sztuki. Polacy pojechali tam pod przewodnictwem Władysława Tatarkiewicza. W zespole znalazła się m.in. Stanisława Sawicka, historyczka sztuki, na co dzień związana z Biblioteką Uniwersytetu Warszawskiego. Kilka tygodni wcześniej Sawicka wybrała się do Gdańska. Powódź czerwonych flag ze swastyką i zasieki z szyn kolejowych na drodze do Sopotu uderzyły ją tak mocno, że po powrocie do stolicy zaczęła się starać o zabezpieczenie znajdujących się pod jej opieką zbiorów graficznych BUW-u. Po konsultacjach z kustoszem Muzeum Narodowego poprosiła rektora o skrzynie na grafiki oraz o wskazanie miejsca, w którym będzie mogła je schować. Oznajmiono jej, że to za wcześnie.

Podczas pobytu w Londynie Sawicka zrezygnowała z wycieczki, by wybrać się do British Museum i poznać tamtejsze metody zabezpieczania kolekcji. „Zbiory Prints and Drawings Room były całkowicie przygotowane do ewakuacji na prowincję w ciągu dwóch godzin. Dokładne numery tek, pudeł, skrzynek itp. z krótkim podaniem zawartości z uwzględnieniem kolejności ewakuacji wymagały dłuższej pracy", wspominała. Pracownicy powiedzieli jej, że przyszykowanie tego zajęło im dwa lata. Sawicka wiedziała, że w najlepszym razie ma kilka tygodni.

Bezcenne bomby

Wielu ludzi kultury pamiętało straty poniesione podczas poprzedniego wielkiego konfliktu. Od ognia artyleryjskiego lub celowych podpaleń ucierpiało niejedno archiwum, muzeum czy biblioteka. Jak ta należąca do Uniwersytetu w Leuven, spalona w nocy z 26 na 27 sierpnia 1914 r. Niemcy unicestwili wtedy ok. tysiąca rękopisów, 800 inkunabułów i 300 tys. książek. Niecałe trzy lata później, 3 maja 1917 r., niemiecki pocisk doprowadził do pożaru biblioteki w Reims. Ogień pochłonął 150 tys. dokumentów i książek. Na szczęście Francuzi zdołali wcześniej ewakuować do Paryża najcenniejsze zbiory, łącznie ok. 100 tys. tomów.

Tamta wojna stanowiła istotną cezurę w dziejach zagłady światowej kultury. Przedtem cywilizacyjne dziedzictwo było celem agresji po zakończeniu walk. Persowie w 480 r. p.n.e. spalili Ateny, dewastując świątynie i rozbijając posągi. Gdy w 1258 r. Mongołowie zajęli Bagdad, nie tylko wymordowali dużą część mieszkańców, lecz także zniszczyli Wielką Bibliotekę Abbasydów. W połowie XVII w. Szwedzi wywieźli z Polski nawet kolumny i posadzki pałacowe. W tysiącach podobnych epizodów zabytki przeszłości i dzieła sztuki dewastowano, żeby bardziej upokorzyć przeciwnika i wyładować emocje, albo rabowano – dla zysku, własnej chwały, a z czasem dla narodu.

Przez wieki światowa kultura poniosła niewyobrażalne straty. Gdyby nie pożary i kradzieże, wiele miast, które dziś są skarbcami sztuki i wyznacznikami cywilizacyjnej tożsamości – takich jak Rzym – byłoby o wiele bardziej imponujących. Wiek XX przyniósł nowy lęk o obrazy, książki, pałace i kościoły. Rozwój broni, a przede wszystkim strzelającej na duże odległości artylerii i samolotów przenoszących bomby, zmienił zasady gry. Zabytkom groził również przypadek. Wystarczyło, że artylerzyści dostali złe koordynaty, a piloci bombowców zgubili się w nieznanym mieście, aby zamiast fabryki w gruzach legło np. archiwum z bezcennymi aktami.

Generał Frederick L. Anderson, dowodzący w czasie II wojny światowej 8. Armią Powietrzną USA w Europie Zachodniej, w rozmowie z niemieckim reporterem przyznał później, że nawet jeśli piloci nie zlokalizowali dokładnego celu ataku, załogi i tak miały obowiązek zrzucenia na miasto bomb. Dla własnego bezpieczeństwa – lot powrotny z ładunkami na pokładzie stwarzał dodatkowe ryzyko w przypadku pojawienia się wrogich myśliwców. Poza tym „to są drogie rzeczy. Po prostu nie można tego ot tak sobie zrzucić na góry czy na szczere pole, skoro wyprodukowano to w kraju znacznym nakładem sił", tłumaczył generał. W co trafiały bomby, nie miało większego znaczenia.

W cieniu Prado

Na ludzi kultury bezpośrednio wpłynęła też wojna domowa w Hiszpanii, która wybuchła 18 lipca 1936 r. Półtora miesiąca później, w związku z zagrożeniem Madrytu, Muzeum Prado zamknęło się dla zwiedzających. W gmachu gromadzącym największe skarby hiszpańskiej sztuki zaczęto zdejmować obrazy i znosić je na parter. Największe, takie jak „Poddanie Bredy" Diega Velazqueza z 1635 r., wyjmowano z ram i rolowano na drewniane cylindry, żeby łatwiej było je przewozić. Wszystkie te prace, prowadzone pod presją czasu, musiały przebiegać zgodnie ze sztuką konserwatorską.

Wobec ostrzału stolicy władze republiki podjęły decyzję o ewakuacji zbiorów, która ruszyła 5 listopada i trwała kilka tygodni. W 22 transportach do Walencji przewieziono 1868 skrzyń. Nie był to jednak koniec ich wędrówki. Rok później kolekcja trafiła do Barcelony, a w lutym 1939 r. do Genewy, gdzie została zaprezentowana na wystawie, która stała się światową sensacją.

W tym czasie w innych krajach europejskich władze i dyrektorzy instytucji przyspieszyli przygotowania do zabezpieczenia narodowego dziedzictwa. Francuzi, świadomi, że nie dadzą rady wywieźć w bezpieczne miejsca wszystkich zbiorów, tworzyli listy najważniejszych dzieł, które miały w pierwszej kolejności wyjechać na prowincję. W grę wchodziły tylko wyselekcjonowane lokalizacje – pałace, kościoły i zamki – które spełniały liczne wymagania. Skarby musiały być ukryte daleko od frontu, ale w miejscach, z których można je było sprawnie przewieźć do Wielkiej Brytanii.

Brytyjczycy zdecydowali, że najcenniejsze dzieła przetransportują do Walii. Kierujący National Gallery Kenneth Clark pisał po wojnie: „Trudności były ogromne. Budynek musiał się znajdować w pobliżu miast i stacji kolejowej, ale wystarczająco daleko, jak wówczas zakładaliśmy, od obiektów, które mogłyby się stać celem ataku z powietrza. Musiał być solidny i suchy" (cytat za Lynn H. Nicholas, „Grabież Euro-

eprasa.pl f6cf2fea5a



FOT. GAINEW GALLERY/ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

Zabezpieczanie Mona Lisy podczas II wojny światowej

py"). Drzwi i okna musiały być na tyle duże, aby zmieścił się w nich największy obraz z National Gallery, czyli „Portret konny Karola I" Anthonisa van Dycka o wysokości 367 cm i szerokości 292 cm.

30 września 1938 r., w tym samym dniu, w którym szefowie rządów Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec i Włoch podpisali w Monachium układ zmuszający Czechosłowację do oddania części terytorium III Rzeszy, pierwsze 50 obrazów wywieziono do Bangor. Jedną z kluczowych kryjówek był Uniwersytet Północnej Walii. Sprawdzian wypadł pomyślnie. Żeby ułatwić w przyszłości pakowanie, ramy części obrazów pocięto.

Takich miejsc jak Bangor było więcej. Wśród nich znajdowały się Narodowa Biblioteka Walijska w Aberystwyth, zamki w Caernarvon i Penrhyn, niedziałające stacje londyńskiego metra oraz kopalnie. Kilkanaście miesięcy później podobny system kryjówek oddalonych od wielkich ośrodków miejskich stworzą Włosi.

Pożegnanie Nike

Latem 1939 r. świat kultury przyspieszył przygotowania do wojny. Z braku miejsca, środków transportu, pieniędzy lub czasu większość zbiorów musiała pozostać na miejscu. Żeby je zabezpieczyć, podejmowano różne zabiegi. Najprostsze polegały na zdejmowaniu obrazów ze ścian i chowaniu ich w skrzyniach. Jak podaje Lynn H. Nicholas, tylko na potrzeby galerii w Paryżu wykonano 2 tys. skrzyń.

Większe wyzwanie stanowiły elementy architektury. Te trudne albo niemożliwe do ruszenia bez ryzyka zniszczenia obkładano workami z piaskiem, obudowywano deskami lub zamurowywano. We Włoszech, już po wybuchu wojny, zabezpieczano w ten sposób freski w kaplicach i zdobne fasady. W Rzymie kolumny Trajana i Marka Aureliusza otoczono specjalnymi rusztowaniami, a następnie obudowano cegłami i workami z piaskiem. W podobny sposób przykryto Łuk Konstantyna stojący obok Koloseum.

Również rzeźby zabezpieczano na różne sposoby. Znajdującego się w rzymskiej Bazylice św. Piotra w Okowach Mojżesza dłuta Michała Anioła schowano za oryginalną konstrukcją z cegieł. Z kolei Nike z Samotraki wywieziono z Luwru i schowano przed Niemcami. Na zachowanych zdjęciach widzimy, jak umieszczona w drewnianej klatce figura zjeżdża po ułożonych na schodach deskach. Wystarczył jeden zły ruch, aby brak głowy nie był największym mankamentem posągu.

Tę ryzykowną operację obserwowała Magdeleine Hours, 26-letnia historyczka sztuki i konserwatorka. „Monsieur Michon, podówczas kustosz działu starożytnej Grecji i Rzymu (...) wydał nakaz wywiezienia Nike. Posąg chybotał się na pochyłej rampie, przytrzymywany przez dwie grupy mężczyzn, którzy niczym nadwołżańscy burłacy nadzorowali jej zjazd za pomocą lin rozciągniętych w dwie strony. Wszyscy byliśmy przerażeni; panowała całkowita cisza, kiedy Nike powoli sunęła w dół, a jej kamienne skrzydła lekko drżały. Monsieur Michon opadł na schody, mrucząc: «Nie doczekam jej powrotu»" – pisała Hours, cytowana przez Nicholas. Scena rozegrała się 3 września 1939 r. Luwr i inne wielkie muzea były już wtedy zamknięte dla zwiedzających.

Panikarskie zachowania

Podobnie jak na zachodzie Europy, również w Polsce przygotowania ruszyły jesienią 1938 r., choć nie szły tak sprawnie. Gdy Brytyjczycy i Francuzi testowali swoje pomysły w praktyce, nad Wisłą dopiero opracowywano instrukcje. Wiosną i latem 1939 r. odbywały się konsultacje, zbierano dane i wymieniano się pismami. Brakowało jednak decyzji. Z jednej strony władze miały świadomość, że potrzeba konkretnych działań, z drugiej – trudno było im przyznać, że wojna nie jest kawiarnianą plotką, lecz realnym scenariuszem.

Stanisław Lorentz, dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie i człowiek, bez którego polska kultura poniosłaby dużo większe straty, w rozmowie z dziennikarzem Robertem Jarockim otwarcie powiedział, że każda placówka była zdana na siebie. „Z różnych względów, wśród których, jak myślę, dominowała chyba chęć niewywoływania nastrojów defetystycznych, a także z powodu braku wyobrażenia, jak może przebiegać wojna niemiecko-polska, władze wyższe żadnych dyspozycji nie wydały. Sprawą ochrony zbiorów sztuki musieliśmy zająć się sami" – opowiadał.

Stanisława Sawicka, która wróciła z Londynu z masą pomysłów, jak ochronić grafiki ze zbiorów BUW-u, usłyszała od władz uniwersyteckich, że nie będą zamawiać skrzyń. Tłumaczyły, że nie zgadzają się na „panikarskie" zachowania. Sawicka pojechała więc na wakacje.

Lorentz miał inne podejście niż UW. Wiosną 1939 r. w Muzeum Narodowym zaczęto gromadzić skrzynie – zarówno specjalnie skonstruowane, jak i najprostsze. „Na poufnych konferencjach dyrektora z kustoszami i konserwatorami ustaliliśmy też zasady postępowania w okolicznościach wymagających szybkich decyzji" – wspominał. Lorentz próbował uzyskać od administracji rządowej informację, czy lepiej schować swoje skarby na miejscu, w podziemiach, czy wywozić. Nawet gdyby władze uznały, że należy je ewakuować, niewiele by to dało. Rozmowy na temat stworzenia sieci pałaców czy klasztorów, w których można by ukryć najbardziej wartościowe elementy zbiorów, tak jak we Włoszech czy Francji, spełzły na niczym. Inna rzecz, że z powodu przebiegu i tempa walk na terytorium Polski nie było miejsca, w którym obrazy i książki mogły być bezpieczne. To, co udało się uratować przed Niemcami, jak wawelskie arrasy czy „Bitwę pod Grunwaldem" Jana Matejki, ocalono dzięki indywidualnym wysiłkom, a nie systemowi.

Sawicka została wezwana do Warszawy kilka dni przed wybuchem wojny. Gdy miasto znalazło się pod regularnym ostrzałem, wraz z koleżankami i kolegami gorączkowo pakowała grafiki, o które tyle czasu wcześniej walczyła z władzami uczelni. Skrzynie, których wcześniej nie mogła się doprosić, ostatecznie się znalazły. Było ich za mało, a ich rozmiary nieodpowiednie, ale były. Gdy znoszono je do podziemi, pojawił się nowy problem. „Wilgotne, nie przystosowane do tego celu pomieszczenia o dwa poziomy poniżej parteru Biblioteki wypadło osuszać ręcznymi grzejnikami, ofiarnie przyniesionymi z domu przez dwie koleżanki" – pisała Sawicka.

Niekończąca się opowieść

Po zajęciu kraju przez dwóch okupantów okazało się, że wcześniejsze przygotowania i tak nie miały znaczenia. Od pierwszych dni Niemcy na masową skalę rozkradali polskie kolekcje. I robili to w sposób metodyczny. Za grabieżą stali wybitni uczeni, którzy na długo przed wybuchem wojny wykorzystali uprzejmość polskich muzealników, bibliotekarzy i archiwistów, by dowiedzieć się, co należy i warto zabrać. Gdy kurz bitewny opadł, znowu złożyli im wizytę, często w mundurach i w towarzystwie gestapo. Tego nie przewidywały procedury w żadnym z europejskich krajów.

Jeśli ktoś potrzebuje więcej dowodów na to, że przypadek często odgrywa decydującą rolę w czasie wojny, może przekona go historia biblioteki w Leuven. Odbudowana książnica po raz kolejny zapaliła się w trakcie walk 16 maja 1940 r. Tym razem płomienie zniszczyły 900 tys. woluminów, trzy razy tyle, ile w poprzednim pożarze.

II wojna światowa jeszcze dobitniej uświadomiła społeczeństwom, że podczas konfliktów zbrojnych dziedzictwo kulturowe wymaga szczególnej ochrony. Nie tylko dlatego, że jest celem ataków i grabieży – również dlatego, że w realiach wojny bomba jest dla decydentów cenniejsza niż jakikolwiek obraz czy rzeźba. Mimo to wciąż obserwujemy, jak z powierzchni ziemi znikają ślady naszej przeszłości. Tak było w Bośni w latach 90. minionego stulecia i w Syrii w XXI w. Widzimy to w Ukrainie, gdy Rosjanie niszczą np. miliony książek.

Choć to smutna refleksja, każda z przytoczonych opowieści pokazuje, że ludzie byli i są gotowi walczyć o przedmioty ucieleśniające naszą tożsamość. I może niech to będzie światełkiem w tunelu. ©℗

eprasa.pl f6cf2fea5a

KOMUNIKAT

OBWIESZCZENIE
z dnia 04 września 2026 r.
o wszczęciu postępowania

Na podstawie art. 8 ust. 1 pkt 3 ustawy z dnia 24 kwietnia 2009 r. o inwestycjach w zakresie terminalu regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu (Dz. U. z 2025 r., poz. 1222) oraz art. 10 § 1 i art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (Dz. U. z 2025 r., poz. 1691)

WOJEWODA PODKARPACKI
ZAWIADAMIA

że na wniosek złożony 13 sierpnia 2026 r., przez Pana Jerzego Heidera – pełnomocnika **Operatora Gazociągów Przesyłowych GAZ-SYSTEM S.A., 02 - 337 Warszawa, ul. Mszczonowska 4,**

zostało wszczęte postępowanie administracyjne
znak: I-VII.747.1.14.2026

w sprawie wydania decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej inwestycjom w zakresie terminalu regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu pn.: **„Budowa odcinka gazociągu DN700 MOP 5,5 MPa relacji Jarosław-Rozwadów oraz rozbiórka i wyłączenie z eksploatacji odcinków istniejącego gazociągu DN700 MOP 5,5 MPa relacji Jarosław-Rozwadów”** realizowanych w ramach zadania pn.: **„Gazociąg Jarosław-Rozwadów DN 700 (m. Rzeczyca Długa, anomalie, kolizje) - przebudowa”.**

Wniosek obejmuje nieruchomości o nr ewid.: *(w nawiasach wskazano nr ksiąg wieczystych)*

powiat stalowowolski, jednostka ewidencyjna 181804_2 Radomyśl nad Sanem, obręb 0009 Rzeczyca Długa:

1172 (TB1S/00033336/4), 91/1 (TB1S/00071795/7), 92/2 (TB1S/00028606/0), 91/2 (TB1S/00066605/1), 1174 (TB1S/00061139/8), 60/2 (-), 102 (-), 71 (-), 70 (-), 69 (TB1S/00057374/6), 90/1 (-), 62 (-), 104 (TB1S/00039221/7).

W związku z powyższym strony mogą zapoznać się z aktami sprawy w siedzibie Podkarpackiego Urzędu Wojewódzkiego w Rzeszowie, ul. Grunwaldzka 15, w dniach pracy urzędu, po wcześniejszym telefonicznym uzgodnieniu terminu i godziny przyjęcia (tel. 17 867 15 64) i złożyć swoje wnioski i zastrzeżenia, do czasu wydania w tej sprawie rozstrzygnięcia.

Zgodnie z art. 8 ust. 2, 2a, 2b, 3 i 3a ustawy o inwestycjach w zakresie terminalu regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu:

1. Z dniem doręczenia niniejszego zawiadomienia, nieruchomości stanowiące własność Skarbu Państwa lub jednostki samorządu terytorialnego, objęte wnioskiem o wydanie decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej inwestycjom w zakresie terminalu, nie mogą być przedmiotem obrotu w rozumieniu przepisów o gospodarce nieruchomościami do dnia, w którym decyzja ta stanie się ostateczna.
2. W odniesieniu do nieruchomości objętych wnioskiem o wydanie decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji w zakresie terminalu do dnia, w którym decyzja ta stanie się ostateczna:
   – nie wydaje się decyzji o pozwoleniu na budowę; toczące się postępowania ulegają zawieszeniu z mocy prawa do dnia, w którym decyzja o ustaleniu lokalizacji inwestycji w zakresie terminalu stanie się ostateczna,
   – zawiesza się postępowania o wydanie decyzji o warunkach zabudowy lub decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji celu publicznego w rozumieniu ustawy o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym.

   Powyższych przepisów nie stosuje się do postępowań dotyczących terenów zamkniętych ustanowionych przez Ministra Obrony Narodowej lub innych postępowań prowadzonych na wniosek jednostek podległych Ministrowi Obrony Narodowej lub przez niego nadzorowanych lub na rzecz tych jednostek, a także postępowań w sprawie wydania decyzji o warunkach zabudowy, decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji celu publicznego i decyzji o pozwoleniu na budowę, wszczętych na wniosek inwestora.

   Na wniosek strony postępowania, po uzyskaniu zgody inwestora, organ prowadzący postępowanie w sprawie wydania decyzji o pozwoleniu na budowę w odniesieniu do nieruchomości objętych wnioskiem o wydanie decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji w zakresie terminalu, podejmie zawieszone postępowanie.
3. W przypadku gdy po doręczeniu niniejszego zawiadomienia nastąpi:
   – zbycie własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem o wydanie decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej inwestycjom w zakresie terminalu, nabywca i zbywca, są obowiązani do zgłoszenia Wojewodzie Podkarpackiemu danych nowego właściciela lub użytkownika wieczystego,
   – przeniesienie, wskutek innego zdarzenia prawnego, własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem o wydanie decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej inwestycjom w zakresie terminalu, nabywca jest obowiązany do zgłoszenia Wojewodzie Podkarpackiemu danych nowego właściciela lub użytkownika wieczystego.

Niedokonanie powyższego zgłoszenia i prowadzenie postępowania bez udziału nowego właściciela lub użytkownika wieczystego nie stanowi podstawy do wznowienia postępowania.

AUTOPROMOCJA

WWW.IKOMUNIKATY.PL

Ogłoszenia
w Dzienniku Gazecie Prawnej
gazeta + internet

Ewa Gromek-Tyburska
ewa.gromek@infor.pl, tel. + 48 510 024 764

Kinga Cikacz
kinga.cikacz@infor.pl, tel. + 48 668 450 116

Ewa Micek
ewa.micek@infor.pl, tel. + 48 519 337 889

Kultura

Krótki kurs oduczania się wszystkiego, co pewne

Uśpiwszy rozum, bez obawy otwieramy drzwi potworom niezdolnym nas skrzywdzić, a zarazem unikamy konfrontacji z tymi, które żądają naszego posłuszeństwa – pisze José Ovejero

Piotr

Kofta

Czym jest odwaga w literaturze? Współcześnie – w kulturze zdominowanej przez autofikcje i dyskurs terapeutyczny – za krańcowy akt odwagi uważa się najpewniej osobiste wyznanie o wychodzeniu z traumy. Niemniej tego rodzaju wyznanie, które na poziomie jednostkowym jest być może potężnym przeżyciem wyzwalającym, na poziomie zbiorowości wydaje się już podejrzanie łatwym zwycięstwem. W tym uniwersum role katów i ofiar są rozdane, przełomowe rozpoznania pozostają zwykle banalne, a bezkompromisowość polega na utwierdzaniu czytelniczek i czytelników w poczuciu, że znaleźli się po właściwej stronie konfliktu. Ustalmy więc: są sprawy społeczne ważne, są nierozliczone rachunki krzywd, są niepomijalne kwestie emancypacyjne, są też wyparte języki, którym warto przywrócić byt i godność – ale żadna z tych rzeczy nie wiąże się obecnie z artystyczną odwagą. Wręcz przeciwnie: kapitalizm znajduje wiele sposobów, aby te, rzeczywiste przecież, emocje skutecznie skomercjalizować, opakować i sprzedać z zyskiem – oczywiście jako dowody rzekomego buntu.

Nasuwa się sugestia, że w takim razie odwagą byłoby uprawiać sztukę, która się nie opłaca – czyli, po pierwsze, nie jest nastawiona na zysk (mierzony również na skali poklasku i prestiżu), po drugie zaś, nie schlebia bezpiecznym oczekiwaniom publiczności. Trzeba tu jednak poruszać się ostrożnie, żeby nie wpaść w sidła stereotypu artysty, który poświęca wszystko w imię twórczości, żywi się powietrzem i gardzi filisterskim gustem. Jest to obraz równie fałszywy jak ten, w którym straumatyzowani buntownicy cierpią na (pluszowych) krzyżach.

Akt odwagi czy konformizmu

Z pewną pomocą definicyjną przychodzi hiszpański pisarz José Ovejero (niestety, żadnej z jego nagradzanych powieści nie przeczytamy w polskim przekładzie) w eseju „Etyka okrucieństwa” – oksymoron w tytule jest zamierzony i stanowi w zasadzie główną tezę tej ciekawej książki. Otóż, powiada Ovejero, pewne rodzaje literackiego okrucieństwa — rozumianego przede wszystkim jako gest skierowany w stronę odbiorcy, nie zaś, na przykład, jako szczegółowe opisy ekscesów i gwałtownych czynów – mogą mieć walor oczyszczający, ukazujący realny stan rzeczy. W swojej odmianie, nazwijmy to, etycznej „okrucieństwo literatury polega (...) na jej funkcji demitologizującej – przy czym mit rozumiem jako fantastyczne wyjaśnienie rzeczywistości, które nie potrzebuje dowodów, a raczej neguje potrzebę dowodu; okrucieństwo uderza w sam rdzeń naszych przyzwyczajeń intelektualnych, w rutynę naszych serc i mózgów. Dopada nas w najskrytszych miejscach i odsłania to, co jest schowane pod kołdrą i czego wolelibyśmy nie widzieć”. Innymi

eprasa.pl f6cf2fea5a



FOT. ARCHIVES DU 7E ART/2929/DIMENSION FILMS/BE&W

Kadr z filmu „Droga" na podstawie powieści Cormaca McCarthy'ego

słowy — przywołując słowa Franza Kafki – „ein Buch muß die Axt sein für das gefrorene Meer in uns" („Książka musi być siekierą na zamarznięte morze w nas").

Czy bycie – literacko – okrutnym zawsze jest przejawem odwagi? No jasne, że nie. „Są dzieła niby okrutne, które wymierzają publiczności karę na zamówienie i dostarczają jej dokładnie taką dawkę bólu, jakiej potrzebuje, by dalej spokojnie żyć" – pisze Ovejero, wskazując, że może być jeszcze gorzej: to, co uchodzi za akt odwagi, bywa w istocie aktem konformizmu w służbie istniejącego ładu. „Konformistyczne użycie okrucieństwa polega na przejęciu destrukcyjnych popędów jakiejś grupy po to, by przekształcić ją w społecznie jałową sublimację. Najczęściej spotykane w kinie, ale nieobce też literaturze okrucieństwo to staje się spektaklem, zabawą, którą kończy się na wywołaniu emocji wprawdzie intensywnych, niemniej jednak zastępczych. Seryjni mordercy, sadystyczni klawisze, gwałciciele, psychopaci wszelkiej maści zaludniają ekrany i tysiące stron w jedynym celu, jakim jest rozrywka. (...) Literatura jako maść, żeby nie przyszło nam do głowy zajmować umysłu czymś przykrym lub niepokojącym; niepokojącym nie tak jak zmyślony seryjny morderca, lecz jak coś, co nie pozwala nam być dalej takimi, jakimi byliśmy przed przeczytaniem książki".

Jest rynek na przemoc

Ovejero słusznie zauważa więc, że, po pierwsze, większość literatury popularnej służy interesom rynku, po drugie zaś obrazy przemocy, owe hektolitry krwi i flaki zwisające z żyrandola, są przejawem „turystyki silnych emocji": „Zwiedzamy pola bitew egzystencji, usadowieni w wygodnych fotelach. Zaglądamy śmierci w oczy, ale nikt nie umiera. Zabijamy przez pośredników, dzięki czemu nie musimy czuć się winni z powodu naszych agresywnych popędów". Na końcu zaś dostajemy moralizatorską nagrodę: „Okrucieństwo pochodzi od »złych«, którymi zawsze są inni i prawie zawsze spotyka ich zasłużona kara". Tyle że, jak pisze Ovejero, „nierzadko to słuszne przesłanie służy legitymizacji [własnego] okrucieństwa" wobec tych, których pozbawiliśmy w ten sposób twarzy i podmiotowości (by przywołać choćby odczłowieczające metafory, których w Polsce używa się w opisie uchodźców z ubogich krajów Azji i Afryki: bywają „falą", która „zalewa", albo „bronią", której ktoś „używa"; podobnie brzmią przecież izraelskie usprawiedliwienia masowych mordów na Palestyńczykach).

„Uśpiwszy rozum – zauważa autor – „bez obawy otwieramy drzwi potworom niezdolnym nas skrzywdzić, a zarazem unikamy konfrontacji z tymi, które żądają naszego posłuszeństwa". Bandytów nazywamy rycerzami albo żołnierzami wyklętymi, boimy się za to wyobrażonych hord zombi czy mackowatych kosmitów (ale jakże przy okazji kręcą nas wizje wyrzynania ich i palenia żywym ogniem całymi stadami – polecam wspaniały film Paula Verhoevena „Żołnierze kosmosu", który, zamknięty w formie militarystycznej agitki, brutalnie pastwi się nad ową głęboką potrzebą eksterminacji tego, co obce i niezrozumiałe).

Książki okrutne

Uporawszy się ze służebną wobec możnych tego świata pedagogiką okrucieństwa, z tendencjami do jego estetyzacji, do konformistycznego moralizatorstwa i do ustawiania sobie przed nosem celów, w które niezwykle łatwo trafić, Ovejero przechodzi wreszcie do tego, co najciekawsze: do okrucieństwa etycznego. „Literatura, dobra literatura, (...) jest etyczna w takiej mierze, w jakiej podaje w wątpliwość prawdy, w które mocno wierzymy nie dlatego, że posiadamy niezbite dowody czy znaki, lecz dlatego, że potrzebujemy w coś wierzyć" – pisze. Zadaniem uczciwej, odważnej, a przez to „okrutnej" literatury byłoby więc podkopywanie się pod te fałszywe fundamenty. Przy czym właściwie należałoby zejść jeszcze o poziom niżej, do samej czynności czytania. „Czytanie w wielu przypadkach nie jest, jak wmawia nam władza, drogą do rozwoju i osobistego wyzwolenia, lecz strategią na zamknięcie się w sobie" – zauważa Ovejero. – „Lektura, podobnie jak podróże, stała się dla większości zajęciem rekreacyjnym. Jeśli co rusz słyszymy, że czytanie jest dobre, to dlatego, że czytanie, a także pisanie, przestało mieć znaczenie". Ujmując to nieco inaczej, jeśli przekaz ma dotrzeć, rozbicie ustalonych nawyków czytelniczych jest w tym wypadku równie ważne jak sama treść utworu. To nie może być bezpieczna przestrzeń. Dopiero wtedy, gdy staje się groźna, klaustrofobiczna, zaburzająca znaną geometrię, robi się naprawdę interesująca.

José Ovejero

„Etyka okrucieństwa", przeł. Urszula Kropiwiec, Wydawnictwo Obroty, Warszawa 2026



„Autor okrutny nie chce skłonić czytelnika do ucieczki, lecz zamknąć go z samym sobą. Odciąć mu wszystkie drogi wyjścia tak, by nie pozostało mu nic innego, jak zderzyć się z tym, co go zamyka i ogranicza. Autor okrutny czuje potrzebę zwalczania złagodzonych wersji świata, maskujących jego okrucieństwo, używanych często do legitymizowania pewnego porządku politycznego i moralnego, który z kolei utrwala inne formy okrucieństwa".

Sporą część „Etyki okrucieństwa" wypełniają błyskotliwe eseje na temat poszczególnych „książek okrutnych" (a każda z nich jest okrutna na swój sposób). Nie widzę powodu, by odbierać czytelnikom przyjemność uważnej lektury tych tekstów – pobudza ona natychmiastową chęć, by wyłączyć wszystkie komunikatory i wziąć się do prawdziwej literatury – niemniej dla porządku przywołam kilkoro autorów i autorek, których twórczość omawia Ovejero: to, między innymi, Elfriede Jelinek, Cormac McCarthy, Georges Bataille, Elias Canetti czy Agota Kristof. Oczywiście listę tę można bez problemu poszerzać, znalazłoby się tu miejsce dla twórców z tak różnych czasów i porządków, jak: Louis-Ferdinand Céline, Chuck Palahniuk, Mariana Enríquez, Philip K. Dick czy nawet James Ellroy (jako przedstawiciel etycznego okrucieństwa w powieści kryminalnej). W głowie kłębią mi się kolejne nazwiska, mógłbym je długo wymieniać, ale nie w tym rzecz. Rzecz, jak pisze Ovejero, w „oduczaniu się" wszystkich kłamstw i filtrów, przez które sączy się ku nam rzeczywistość. A że można od tego zwariować, to już całkiem inna historia. ©℗

eprasa.pl f6cf2fea5a



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Kto miałby zapłacić za likwidację gotówki?

Rafał Woś

Wszystko należy robić tak prosto, jak tylko się da – ale nie prościej. To przypisywane Einsteinowi powiedzonko dobrze pasuje do bardzo wielu spraw. W tym również do procesu wypierania papierowego pieniądza z użytku.

Wiadomo, że od gotówki się odchodzi. Konsumentom odpowiada wygoda transakcji, sprzedawcy cieszą się ze zwiększonych obrotów e-handlu, a rządy są zainteresowane zmniejszeniem szarej strefy wolnej od podatków. Świat bez gotówki daje wszystkie te korzyści, nic dziwnego, że argumenty za jego dalszym rozwojem królują w przestrzeni publicznej.

Drugą stroną tego równania nieuchronnie staje się rachunek kosztów utrzymywania klasycznego pieniądza w obiegu. Produkcja bilonu i banknotów, utrzymywanie sieci bankomatów i placówek bankowości detalicznej, transport gotówki oraz związane z nią kwestie bezpieczeństwa. Regularnie powracają postulaty, że przecież to wszystko niepotrzebne, skomplikowane i niedzisiejsze.

Bezgotówkowy świat wydaje się więc fajny i prosty. Ale może właśnie tylko tak długo, dopóki ktoś nie wpadnie na genialną ideę, by z gotówki zrezygnować zupełnie? Do takiego wniosku dochodzą ekonomiści z Niemiec i Austrii Julia Pitters oraz Franz Seitz. Pokusili się oni o wyliczenie kosztu rezygnacji z gotówki. By to zrobić, musieli wyróżnić najważniejsze negatywne konsekwencje odgotówkowienia gospodarki.

Pierwsza – i najważniejsza z nich – to stabilność obrotu gospodarczego. Sprowadza się to do prostych pytań: a jak zabraknie prądu? A jak padnie internet? Oczywiście, nie w jednym domu ani nie na chwilę. Ale w całym mieście lub regionie. Powiedzmy na tydzień. Że takie rzeczy mogą się zdarzyć, to przecież dobrze wiemy. Nie od dziś wiadomo, że infrastruktura telekomunikacyjna to oczywisty cel każdej potencjalnej cyberagresji. Jak kupować i sprzedawać towary pierwszej potrzeby, takie jak żywność, leki czy paliwo, w sytuacji takiego ataku? Bez gotówki ani rusz.

Drugi kluczowy obszar stanowi prywatność. W świecie bez gotówki każda płatnicza aktywność zostawia ślad, który stanowi niezwykle cenne źródło wiedzy na temat preferencji płatnika, jego gustów, poglądów politycznych, stanu zdrowia, sytuacji finansowej i innych intymnych szczegółów żywota. Ta wiedza w świecie bez gotówki zostaje wielkim korpo podana na talerzu. Obywatel-konsument nie ma w zasadzie szans, by się temu przeciwstawić. No, chyba że kupi sobie prawo do anonimowości (a pewnie cena będzie słona).

Trzecia sprawa to dostęp do rynku. Gotówka jest pod tym względem w zasadzie przezroczysta. Jedyną barierą wejścia do rynkowej transakcji jest jej posiadanie. Pieniądz cyfrowy jest trudniejszy. Wymaga uprzedniej autoryzacji uczestnika – jej najprostsza forma to oczywiście otwarcie konta w banku. Ale autoryzacja raz udzielona może zostać zawsze arbitralnie cofnięta lub ograniczona. Brak gotówki w systemie sprawiałby, że taka sama możliwość byłaby równoznaczna z oddaniem organom certyfikującym władzy nad cywilnym być albo nie być każdego człowieka. To także potencjalny koszt, który musieliby w takim świecie ponieść ci wszyscy, którzy nie radzą sobie z cyberpłatnościami. Ale radzić sobie przecież będą musieli.

I wreszcie ostatnia kwestia. O jej istnieniu przypomina bogaty dorobek ekonomii behawioralnej wskazujący, że inaczej (trudniej) wydawane są pieniądze tradycyjne, które mogą się fizycznie skończyć, a inaczej cyfrowe ekwiwalenty – tu przekroczenie budżetu często pozostaje niezauważone. Być może po stu latach funkcjonowania w świecie bezgotówkowym homo oeconomicus zmieni się w homo e-oeconomicusa. Ale dopóki to się nie zdarzy, różnice będą. Koszty funkcjonowania wyłącznie w świecie bez gotówki także.

Po podliczeniu tego wszystkiego razem ekonomistom wyszło, że rezygnacja z gotówki wiązałaby się z kosztem w wysokości ok. 1 proc. PKB gospodarki rozwiniętej. To znacznie więcej, niż kosztuje dziś jej utrzymywanie w obiegu. I nie mam już żadnych wątpliwości, że rzeczy trzeba robić tak prosto, jak tylko się da – ale nie prościej. ©℗

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność”

Konflikt, który wchodzi do pracy

Napięcia etniczne mogą wpływać także na codzienne decyzje podejmowane w pracy, a przez to na produktywność i wynagrodzenia

Marcin Lewandowski

Autor jest ekonomistą GRAPE

Napięcia narodowościowe czy etniczne są postrzegane zazwyczaj jako problem polityczny lub społeczny, a nie ekonomiczny. To założenie bywa jednak złudne: konflikty oparte na tożsamości mogą wpływać także na codzienne decyzje podejmowane w pracy, a przez to na produktywność i wynagrodzenia, nabierając wyraźnego wymiaru ekonomicznego.

Dobrym przykładem obrazującym ten mechanizm jest badanie przeprowadzone w Kenii przez ekonomistę Jonasa Hjorta (Kolegium Uniwersyteckie w Londynie). Kraj zmaga się z napięciami etnicznymi, które w dużej mierze pokrywają się z podziałami politycznymi. Ludy Kikuju i Luo tradycyjnie wspierają rywalizujące obozy polityczne, a napięcia narosły szczególnie po wyborach prezydenckich przeprowadzonych w grudniu 2007 r., kiedy doszło do wybuchu przemocy.

Analizując dane pozyskane z dużej farmy kwiatowej, Hjort zbadał, w jaki sposób napięcia etniczne wpływają na wydajność pracy. Produkcją zajmowały się w niej trzyosobowe zespoły: jedna osoba ścinała kwiaty i je rozdzielała, dwie kolejne zajmowały się ich pakowaniem. Istotny był sposób wynagradzania: każdy pakowacz otrzymywał wynagrodzenie zależne od liczby przygotowanych przez siebie paczek, natomiast wynagrodzenie osoby rozdzielającej kwiaty zależało od łącznej liczby paczek przygotowanych przez obu pakowaczy.

W teorii osoba rozdzielająca kwiaty powinna więc dbać o to, by obaj pakowacze mieli nieustanny dostęp do ściętych kwiatów i, niezależnie od pochodzenia etnicznego, łącznie spakowali ich jak najwięcej. Praktyka pokazała coś odmiennego. W zespołach etnicznie mieszanych osoby przygotowujące kwiaty faworyzowały pakowaczy ze swojego ludu. Jeszcze przed wybuchem konfliktu w 2007 r. grupy mieszane były wyraźnie mniej produktywne: o 5–8 proc. Nie wynikało to jednak z różnic w umiejętnościach pakowaczy. Pracownicy rotowali między zespołami i ten sam pakowacz stawał się bardziej produktywny, gdy trafiał do osoby rozdzielającej kwiaty z własnej grupy etnicznej. Problemem było więc to, że osoby rozdzielające kwiaty wolały przekazywać mniej kwiatów pracownikowi spoza własnego ludu – nawet kosztem obniżenia własnego wynagrodzenia. Po wyborach w 2007 r. i wybuchu przemocy sytuacja jeszcze się pogorszyła, a wydajność zespołów etnicznie mieszanych spadała dalej, podczas gdy wydajność zespołów jednorodnych praktycznie się nie zmieniła.

Rozszerzenie się konfliktu etnicznego przełożyło się zatem na wzrost dyskryminacji w miejscu pracy. Miało to realne konsekwencje ekonomiczne: nie tylko obniżało produktywność farmy, lecz także zmniejszało wynagrodzenia samych osób dyskryminujących, czyli pracowników przygotowujących i rozdzielających kwiaty. Co ważne, były to osoby o niskich dochodach, dla których każda utracona część pensji miała znaczenie. Mimo to więzy etniczne okazały się na tyle silne, że były one gotowe ponosić straty finansowe, byle tylko ograniczyć zarobki osoby z obcej grupy etnicznej.

Przypadek kenijskiej farmy pokazuje, że napięcia polityczne i etniczne nie pozostają jedynie na poziomie haseł czy sporów o władzę. Przenikają do codziennych relacji w miejscu pracy i wpływają na decyzje pracowników, skłaniając ich do działań sprzecznych z własnym interesem ekonomicznym. Gdy takie napięcia się utrwalają, ich skutkiem staje się nie tylko wzrost nieufności, lecz także realny spadek produktywności i konkretne koszty ekonomiczne wynikające z ograniczenia obopólnie korzystnej współpracy. ©℗

Słuchaj podcastu GRAPE | Tłoczone z danych „Co zmieniła wojna w migracjach Ukraińców do Polski?”

eprasa.pl f6cf2fea5a